BIBLIOTEKA WIERSZY WYBRANYCH

NR. 1

JAN KASPROWICZ

WIERSZE WYBRANE



TOWARZYSTWO WYDAWNICZE W WARSZAWIE

Warszawa 24/XII 42

Reni
od M... M... ów

JAN KASPROWICZ
WIERSZE WYBRANE

JAN KASPROWICZ

WIERSZE WYBRANE

DO UŻYTKU SZKOLNEGO
PRZYGOTOWAŁ
LEOPOLD STAFF



WARSZAWA—MCMXXXVIII—KRAKÓW
WYDAWNICTWO J. MORTKOWICZA
TOWARZYSTWO WYDAWNICZE W WARSZAWIE





Drukarnia Naukowa Towarzystwa Wydawniczego
w Warszawie, Rynek Starego Miasta 11

Jan Kasprowicz urodził się w r. 1860 w Szymborzu pod Inowrocławiem na Kujawach, jako syn ubogich włościan. Wędrówki po gimnazjach prowincjonalnych w Inowrocławiu, Poznaniu, Opolu i Raciborzu zaprowadziły go na uniwersytet w Lipsku i we Wrocławiu, gdzie studiował historię kultury, filologię klasyczną i literaturę współczesną. Okres uniwersytecki zakończył doktorat, uzyskany za rozprawę o Lenartowiczu, na uniwersytecie lwowskim, gdzie następnie w r. 1909 został Kasprowicz profesorem literatury porównawczej. W r. 1889 osiedla się Jan Kasprowicz we Lwowie, gdzie prowadzi ożywioną działalność naukową, publicystyczną, literacką. Odbywa podróże do Włoch i spędza dłuższe okresy w Tatrach i Poroninie. Ostatnie lata życia spędził w swym domu na Harendzie pod Zakopanem, gdzie umarł w r. 1926. Dzieła jego poetyckie ukazywały się w następującej kolejności: Poezje (1899), Chrystus (1890), U trumny wieszcza (1890), Świat się kończy (dramat r. 1891), Z chłopskiego zagonu (1891), Anima lachrymans (1894), Miłość (1895), Krzak dzikiej róży (1898), Bunt Napierskiego (1899), Baśń nocy świętojańskiej (1900), Wybór poezyj (1902), Ginącemu światu (1902), Salve Regina (1902), Uczta Herodiady (1905), O bohaterskim koniu i walącym się domu (1906), Ballada o słoneczniku i inne nowe poezje (1908), Chwile (1911), Księga ubogich (1916), Sita (1917), Marchołt gruby a sprośny (1920), Mój świat (1926).

Poza tym ogłaszał Kasprowicz liczne przekłady z literatury greckiej, niemieckiej, angielskiej i innych.

ERRATA

str.	wiersz	zamiast	powinno być
24	12	Widma rozpaczy po ścieżkach	Widma rozpaczy po jej ścieżkach
91	14	bliską	bliska
86	6	zrzec się	zarzec się
101	23	Przetrwałą	Przetrawiał
126	13	w pierciach	w piersiach

POEZJE

MARZANNO!

Marzanno! Choć każdą ty warzysz
Roślinę,
Ja niech w twym uścisku nie ginę
Na wieki!
Marzanno! płomienna dziewico,
Spal serce,
Lecz zasiej mi trawy kobierce
Na grobie.
A pośród tej trawy zielonej
Niech wiosną
Czerwone się kwiaty rozrosną
I białe.

I niechajże ci, co w rozpaczy
Wciąż żyją,
Nadziei girlandę uwiją
Z tej trawy.
A tym zaś, co darmo ściągali
Tęcz wstęgę,
Niech róża się zmieni w potęgę
Miłości.
A tym, którym pierś już w zwątpieniu
Wysycha,
Niech bije z lilii kielicha
Zdrój wiary.

Marzanno! o przemień mój kurhan
W grodzisko
I w ognia wiecznego siedlisko
Mą urnę:

Prawnucy się wówczas z swych zwątpień
Ocucą
I hymny tu przy mnie zanucą,
Rozgrzani,
I dymy ofiarne się w górę
Podniosą,
Bo dzięk uczynią niebiosom,
Że wolni!...

CICHE BOJE.

Szumią drzewa, szumią,
Szumią w czarnym lesie,
A wiatr ich listeczki
Gdzieś na pole niesie.

Niesie gdzieś na pole
I jęczy żałośnie
Po minionym cieple,
Po minionej wiośnie.

Po minionej wiośnie
I ja łzę uronię,
Choć jej ogień jeszcze
W moim sercu płonie.

Płonie jeszcze ogień
Oj! ten ogień święty,
Ale czyjąś ręką
We wnętrzu zaklęty.

Zaklęty we wnętrzu
Jak te skryte zdroje,
Co to ze skałami
Ciche toczą boje.

Ciche boje toczą
Bo braknie im nieba,
A im tak błękitów
Złocistych potrzeba.

Ciche boje toczą
A nikt ich nie słyszy,
Aż ulegną skałom
W tej ponurej ciszy...

ANIMA LACHRYMANS

BĄDŹ POZDROWIONA!

Chociaż mną miotasz po spienionej fali,
Jak burza morska resztkami okrętu,
Tutaj, gdzie chmur mi słońce nie przepali,
Gdzie każdy jęk mój ginie w głuchej dali
Zamętu —

Chociaż mi w duszę wlewasz żółci zdroje,
Że myśl tu nieraz myśli przeciwieństwem,
Że, gdy ogarną mnie twe niepokoje,
Rzucam na siebie i na blizkie swoje
Przekleństwem —

Chociaż mnie krwawym naznaczyłaś chrzestem,
Stanąwszy blada już nad mą kołyską;
Choć przez cię nieraz jako starzec jestem,
Że mi śmierć, zda się, z swych skrzydeł szelestem
Tak blizką:

Bądź pozdrowiona, o ty bez promienia,
Który nadzieją martwe serca pieści,
Spowita płaszczem bezdennego cienia,
Źródło mej pieśni, macierzy natchnienia,
Boleści!...

NIE ŻAŁUJĘ.

Żem młodo rzucił próg rodzinnej chaty
I biegł za słońcem, które złudne snuje
Pasma za sobą, żem darmo zapłaty
Szukał za trudy tam, gdzie zblakłe kwiaty,
Nie żałuję.

Żem między ludzi poszedł, tam, gdzie dźwięki
Młodzieńczej pieśni dzika rozpacz psuje,
Żem ścisk zobaczył wychudzonej ręki
I łzy w źrenicach, żem usłyszał jęki,
Nie żałuję.

Że mi podano gorycz do wypicia,
Co jadem swoim zdrój miłości truje,
Żem śród czarnego nie znalazł pokrycia
Złocistych cacek i jasnych farb życia,
Nie żałuję.

Że się otarłem o te brudne ściany,
Gdzie świętych uczuć sprzedajność króluje,
Żem rękę włożył w ropiejące rany
I na świat wyszedł kałużą zbryzgany,
Nie żałuję.

Żem jak mogilny krzyż, co skier nie ciska,
Choć go przechodzień gorąco całuje,
Że, kiedy stoję u nieszczęść urwiska,
Żadna boleści łza z ócz mi nie tryska,
Nie żałuję.

Że moja dusza walkami się strudzi
I że tych kajdan los jej nie rozkuje,
Że żywot skończę zdaleka od ludzi,
Że mnie do nieba archanioł nie zbudzi,
Nie żałuję...

KRZAK DZIKIEJ RÓŻY

Z CYKLU „W CIEMNOŚCI SCHODZI MOJA DUSZA".

I.

Wierzyłem zawsze w światła moc,
Władnącą nad mrokami,
A przecież nieraz wiarę tę
Gorzkiemi zlewam łzami.

I wstaje z morza gorzkich łez
Zjawisko wnet olbrzymie,
Nachyla ku mnie smutną twarz,
A Rozpacz mu na imię.

Nachyla ku mnie bladą skroń,
Żrenicą wabi ciemną,
Zamyka w uścisk, ach! i świat
Zamyka razem ze mną.

VI.

Ach! nieraz mi się zdaje,
gdy tak samotny kroczę
W zachodu cichem złocie,
zadumą ogarnięty,
Że cień, co długi, wstaje
z pod nóg mych i swe mrocze
Na ziół tych ściele krocie,
nie ze mnie jest poczęty.

Lecz, że z przyszłości fali,
czy z przyszłych dni głębiny —
Hen! tam, gdzie ziemi końce —
byt jakiś, tu nieznany,
Wychylił się w oddali
i że cień jego siny
Dnia dzisiejszego słońce,
mrąc, rzuca na te łany.

I tęskność duszę chwyta
na wierchy gdzieś tajemne,
Lecz wraz ku memu łonu
zbliża się lęk ponury:
Ach! widzę, jak, okryta
w całuny mgławic ciemne,
U stóp mych przepaść dyszy
głębokiem, cichem tchnieniem...
Jak przed zjawiskiem skonu,
zwrócony do purpury
Zachodu, drżę w tej ciszy —
przed swoim własnym cieniem...

VII.

Życia ogromne morze grzmi przedemną,
A ja na brzegu stoję zadumany,
Lękam się nawet spojrzeć na bałwany,
Oczy mam tylko w dal utkwione ciemną.

Łódź na mnie czeka... Wrą żywiołów boje,
Głosem trytonów wzywając w odmęty,
A ja się wiosła nie imam: przeklęty,
Samotny żeglarz, bez odwagi stoję.

Pół sen, pół jawa — oto dzień żywota,
Pędzon na żwirach pustego wybrzeża,
O które fala daremnie uderza,
Daremnie z hukiem srebrne piany miota.

Pancerne statki wyruszyły w drogę:
Warczą ich koła, z paszcz buchają dymy,
Płyną po głębiach, jak ptaki-olbrzymy,
Precz poza sobą zostawiwszy trwogę.

A ja, w dal mając zatopione oczy,
Na jawie przędę z mgieł obrazy senne,
By okryć niemi to morze bezdenne,
Co z takim szumem swoją wieczność toczy.

Na karku tylko dreszcz mi usiadł blady
I rwie mą przędzę bezlitośną dłonią:
Chwila, a w chmurach pioruny zadzwonią,
Mego wybrzeża wstrząsną się posady.

Chwila, a orkan porwie swe obroże,
Z nóg i z rąk swoich ciężkie pęta zrzuci
I w zaślepieniu szaleństwa wywróci
Z granic kotliny rozszalałe morze.

Cały ten ogrom z łożyska wyważy:
Ku niebu wzdmie się ta pierś Lewiatana,
By, płomieniami błyskawicy zlana,
Opadnąć z jękiem tonących żeglarzy...

Topi się ołów przestworu! Z łoskotem,
Z trzaskiem i sykiem już się woda pali!
Błogosławiony, kto ginie w tej fali,
W walk żywiołowych rozognieniu złotem.

Błogosławiony, kto pochwycił wiosła
I jak bohater puścił się w swej łodzi
Na wichr, co nad nim dziką pieśń zawodzi,
Na toń, co pod nim w dziki szał urosła!

Błogosławiony kto z swej ludzkiej duszy
Umie wykrzesać pokrewieństwo burzy,
Swe błyskawice w głębinach zanurzy,
Swoimi grzmoty przestwory poruszy!

Zalewasz brzeg mój, rozhukany wirze?!
Piekielna mściwość twe skrzydła rozpędza?
Zalej go! zalej! wszak na nim śni nędza,
Co swoje własne, gnuśne stopy liże!...

Zalej go! zalej! Z ciałem Prometeja
W piarg się rozpadły zębate opoki!
Wybrzeże piasek zasypał głęboki:
By stężał w turnię, znikła już nadzieja!

Zalej go! zalej ten mój brzeg przeklęty,
Bezpłodny, pusty i, jak rozpacz, nagi:
Więzi mnie na nim trwożny brak odwagi,
Gdy w krąg żeglarze spieszą na odmęty.

O niema łódko, a przecież wymowę
Strasznych demonów mająca!... O wiosło,
Coś się ze ziemi, jak gigant, podniosło
I idziesz na mnie, na senną mą głowę!

Falo, wiodąca wciąż ze sobą wojnę!
Śmiałe, po falach wciąż krążące statki!
Żagle, rozwiane niby kwiecia płatki!
Maszty, w flag tysiąc różnobarwnych strojne!

Życia ty morze, tak grzmiące przedemną,
Gdy ja, na brzegu stojąc zadumany,
Lękam się nawet spojrzeć na bałwany
I wzrok mam tylko w dal utkwiony ciemną —

Gdy ja, w dal mając zatopione oczy,
Na jawie przędę z mgieł obrazy senne,
By okryć niemi to morze bezdenne,
Co z takim szumem swoją wieczność toczy.

VIII.

Byłeś mi dawniej bożyszczem, o tłumie!
Wiarę mą trawił twój żołądek wraży!
Dziś moja miłość już zgiąć się nie umie
Na stopniach twoich bezbożnych ołtarzy.

Dziś z resztą siły poszedłem w bluźnierce,
Ma dłoń słabnąca dziś twój bałwan kruszy,
Krwawy Molochu, coś pożarł me serce,
Jak Wampir wyssał drogi szpik mej duszy!

Królu w łachmanach, siedzący na tronie,
Z którego zdarto bisior i złocenia!
Ogniem zawiści twoje oko płonie,
Chciwość twe usta w wstrętną paszczę zmienia.

Wytrzeszczasz straszne bazyliszka oczy,
Albo je chytrze przysłaniasz obłudą,
Wabiąc zwierzynę, która we krwi broczy
Pod twym pazurem, pod twą ręką chudą.

Żer w twe koryto ciągłe znoszą wieki,
Wnętrzności swoje rzucają-ć pod nogi,
Ty, od nasyceń wieczyście daleki,
Wściekłyś z pragnienia, — jak żbik, z głodu-ś srogi.

Myśli, uczucia, prorocze ekstazy,
Czystość poświęceń, rycerskie porywy,
Modły zachwytne, dyscyplinne razy,
Krwi stygmatycznej święty strumień żywy —

Gwoździe, co sine przebijają ręce,
Ciernie, co kłują bladożółte skronie —
Wszystko to ginie w twej potwornej szczęce,
Wszystko to brzuch twój w swoich bezdniach chłonie.

Przywlokłeś ku mnie swe nogi żebracze,
Bose, zziębnięte w śnieżystej wichurze,
I dusza moja już litością płacze,
I już ci cały, jak pachołek, służę...

Przyszedłeś ku mnie, ty płazie człowieczy,
Z odgniotem jarzma na schylonym grzbiecie,
I już ma dusza ciemięzcom złorzeczy,
Już w twej obronie bicz rzemienny plecie...

Przyszedłeś ku mnie, dzierżycielu pięści,
I pokazując nabrzmiałe ramiona —
„Glob się z tej mocy rozpadnie na części,
Świat zła — krzyknąłeś — pod tym gromem skona!“

Jak nie uwierzyć w żelazne ryskale,
Co w pył wiekowe opoki rozkruszą?!
I bałwochwalcze już kadzidła palę
Tobie, o tłumie, żeś owładł mą duszą!

Widzę: olbrzymie szeregi się zbiegły —
Skórzane mają u pasa fartuchy...
Tylcami młotów walą w świątyń cegły,
Przestwór wypełnia huk i łoskot głuchy!...

Widzę: centaury przebiegają ziemię,
Miast łuków, dzierżą płomienne pochodnie!
Kopyta w iskrach!... Gdzież ta siła drzemie,
Co łun powstrzyma rozszalałą zbrodnię?

Są w twojej piersi wulkaniczne ognie!
Ale stracony, kto się od nich zajmie!
Serce swe spali, duszę swoją pognie,
Jak ćma, tak spłonie w twym służalczym najmie.

To jest konieczność: padł orząc twe łany,
Ty go przygnieciesz swem cielskiem kosmatem,
Brutalny zwierzu! Ty, bożku miedziany,
Runiesz na niego całym swoim — światem...

A sam na pulchnej od popiołów roli,
Na którą padło to przekleństwo boże,
Będziesz już brzuch swój wypasał dowoli,
Nienasycony, stugębny potworze!

Ty wrogu ducha! Stopami z ołowiu
Zdeptałeś kwiaty, które dłoń posiała
Bożego siewcy: na zwiędłem pustkowiu
Straszny dla duchów stawiasz ogrom ciała!

Gdzieś dawnych bożnic zburzył fundamenty,
Tam nowy kościół dla ciebie powstanie,
O nieskalany! o boski! o święty!
O ty mocarzu! królu i kapłanie!

Jest wielki ołtarz! Cały złotem błyszczy!
Na nim twe ścierwo rozpiera się tłuste,
Między pierwszemi najpierwsze z bożyszczy,
Na swych kolanach pieszczące Rozpustę!

Długo tak będziesz cesarzył, o krwawy,
Dziki Molochu, coś pożarł me serce?
Aż śród piekielnej obedrą cię wrzawy
Jadła i picia spragnieni odzierce.

Żebrak się zwali, ziębnięty i bosy,
Ten, co swą nędzą do łez cię poruszy!
Sługa jarzemny rozstrzygnie twe losy,
Wampirze, ssący drogi szpik mej duszy!

Dzierżyciel pięści w twoją pierś uderzy,
Na karku twoim swą stopę położy,
Zdrajco, coś ze mnie zdarł zbroję szermierzy,
Więżąc mnie w swojej dławiącej obroży!...

IX.

Modlitwo moja, cicha i bez słów,
Ku gwiazdom płyniesz z mej znękanej duszy!
O swej tęsknicy złotym gwiazdom mów,
Niech je twój smętek do żalu poruszy,
Modlitwo moja, cicha i bez słów.

Z głębin powstajesz, a ku wyżom mkniesz
Na skrzydłach dziwnie tajemniczej mocy;
Niema-ś, a jęczysz, jak zraniony zwierz,
Rozbrzmiewa wokół wielki płacz sierocy,
Gdy, wstawszy z głębin, ku wyżynom mkniesz.

Łowisz po drodze głuche szumy drzew,
Które wiatr bujnej pozbawił korony:
Przygnębiający, pogrzebowy śpiew,
Na strunach żałob jesiennych zrodzony,
Łowisz po drodze z serca nagich drzew.

Nad brzegi idziesz spochmurniałych wód,
Na żółte łąki, na zwiędłe ścierniska,
Mgłą się opijasz, przejmuje cię chłód,
Co z ziół zeschniętych siwy szron wyciska
Ponad wodami spochmurniałych wód.

Odlatujący ścigasz ptactwa klucz,
Śledzisz, czy bracia w drodze się nie znużą;
Żałość wyziera z twych pobladłych ócz,
Gdy spoczniesz w gnieździe, rozrzuconem burzą,
W gnieździe, skąd ptactwa precz uleciał klucz.

Porywasz szepty z spiekłych ludzkich warg,
Wnikasz do wnętrza złamanego człeka,
Niedomówionych, lub przycichłych skarg
Żywisz się strawą: radości daleka,
Chłoniesz szept bólu z spiekłych, ludzkich warg.

Modlitwo moja, cicha-ś i bez słów,
Choć jesteś sercem głośnych jęków świata,
Który, ścigany przez złowróżbny huf
Nędz nieodstępnych, ku gwiazdom ulata
Z tobą, modlitwo cicha i bez słów.

Na ziemię bożą wielki upadł cień,
Widma rozpaczy po ścieżkach suną,
Powietrze pełne ich wymownych drżeń,
Że mrok się rozlał nad zagasłą łuną,
Że na tę ziemię wielki upadł cień.

W wiekowych bojach zwątlał zastęp dusz,
Zgłuchły zwycięskich pochodów tętenty;
Z dróg się podnosi suchy, biały kurz,
Ale z pod ciężkich stóp orkanu wszczęty,
Co w boju wieków pobił zastęp dusz...

Długie westchnienie krwawych, przeszłych lat,
Zgasłych na polu przygasłej już chwały,
Oto mój pacierz! Nie cząstka, lecz świat
W jego cichości zamyka się cały
Długiem westchnieniem krwawych, przeszłych lat.

Sil się, milcząca modlitwo, ach! sil,
Abyś w sferycznej swej drodze nie padła,
Straszną rozterką tych dzisiejszych chwil...
O jak gorzkiego potrzeba ci jadła —
Sil się, niesyta modlitwo, ach! sil!...

Beznadziejnością nadchodzących dni
Wzbieraj w ogromy skargi niebosięgłej,
Niemej, a głośnej! Dusza o tem śni,
By wzruszyć globów płomienistych węgły
Beznadziejnością nadchodzących dni.

Zginąć, nie patrzeć na ten wielki ból,
Który rozsadzi ziemię na atomy,
Nim szczęście zdąży wzrosnąć śród jej pól!
O ciało słabe, o duchu znikomy:
Zginąć, nie patrzeć na ten wielki ból!

Modlitwo moja, cicha i bez słów!
Ku gwiazdom płyniesz z mej znękanej duszy!
O swej tęsknicy złotym gwiazdom mów,
Niech je twój smętek do żalu poruszy,
Modlitwo moja, cicha i bez słów...

X.

1

Tęsknię ku tobie, o szumiący lesie!
Ku twoim pieśniom, które wiew wiosenny
W bezmierny przestwór na swych puchach niesie,
Ulata duch mój, sam w melodie plenny,

Syt jestem ziemi: z tej kaźni codziennej
Trosk jej i cierpień, o szumiący lesie,
W akordy hymnów pierwotnych brzemienny,
Jak więzień z kajdan, tak ma dusza rwie się.

Jest zapomnienie w twej pieśni; jest lube,
O rozśpiewany, o szumiący lesie,
W fali twych tonów rozpłynięcie bytu;

Jest w nich tajemne przeczucie, że zgubę
Tego, co duszy wybawieniem zwie się,
Chowają w sobie dziedziny błękitu...

2

Struny twej harfy, o szumiący lesie,
Dech ów porusza, co był w onej porze,
Gdy pod budowę wszechświata przyciesie
Pramistrz w niezmiernym układał przestworze —

Gdy kształty bytów święte słowo boże
Przybierać jęło. O szumiący lesie,
Rozlewne dźwięków przedwiekowych morze!
Wonczas, gdy żywioł za żywiołem rwie się.

Kiedy Tworzyciel blask swój i swe cienie
I cichość swoją i swój rozgwar niesie
W pustą bez końca i bez nocy głuszę —

To samo wonczas spłodziło nasienie,
O rozśpiewany, o szumiący lesie,
Dwie siostry bliźnie: twą i moją duszę.

3

Dlatego dzisiaj, o szumiący lesie,
Ma dusza wnika w twą duszę, rozumie,
Chociaż ludzkiego ciała ogniem zwie się,
Choć ludziom śpiewa językiem, w twym szumie

Akord najcichszy... A gdy w drzew twych tłumie,
O rozśpiewany, o szumiący lesie,
Wichr się rozgości w swej szalonej dumie
I burzycielskim swoim tchem rozniesie

Twe liście świeże, przerywając ciszę
Trzaskiem konarów, i ma dusza gnie się
I swą koronę wraz z twemi kołysze

I razem z tobą, o jęczący lesie!
Jęczy i jęk swój razem z twoim splata
W echo tych cierpień, co ranią pierś świata...

4

O rozśpiewany, o szumiący lesie!
Wiem-ci ja dobrze, że ten wichr, choć zrywa
Twe i me łono, choć ból z sobą niesie,
Że znać go dusza nie wytrzyma żywa,

Nie jak wróg na nas z dzikim świstem spływa,
Ale najszczerszym przyjacielem zwie się,
Bo najszumniejsze melodye dobywa
Z mej i twej lutni, o rozgrany lesie!

A jednak dzisiaj — niech wierzchołki twoje
Ten tajemniczy, cichy wiew porusza
W pieśń, co ma w sobie zapomnienia zdroje,

Co rozpłynięciem jest bytu. Niech rwie się.
Świat ten! Spokoju spragniona ma dusza,
O słodką ciszę szeleszczący lesie!

KRZAK DZIKIEJ RÓŻY W CIEMNYCH SMRECZYNACH.

1

W ciemnosmreczyńskich skał zwaliska,
Gdzie pawiookie drzemią stawy,
Krzak dzikiej róży pons swój krwawy
Na plamy szarych złomów ciska.

U stóp mu bujne rosną trawy,
Bokiem się piętrzy turnia śliska,
Kosodrzewiny wężowiska
Poobszywały głaźne ławy...

Samotny, senny, zadumany,
Skronie do zimnej tuli ściany,
Jakby się lękał tchnienia burzy.

Cisza... O liście wiatr nie trąca,
A tylko limba próchniejąca
Spoczywa obok krzaku róży.

2

Słońce w niebieskim lśni krysztale,
Światłością stały się granity,
Ciemnosmreczyński las spowity
W blado-błękitne, wiewne fale.

Szumna siklawa mknie po skale,
Pas rozwijając srebrnolity,
A przez mgły idą, przez błękity,
Jakby wzdychania, jakby żale.

W skrytych załomach, w cichym schronie,
Między graniami w słońcu płonie,
Zatopion w szum, krzak dzikiej róży...

Do ścian się tuli, jakby we śnie,
A obok limbę toczą pleśnie,
Limbę, zwaloną tchnieniem burzy.

3

Jęki, wzdychania, rozżalenia,
Przenikające nieświadomy
Bezmiar powietrza!... Hen! na złomy,
Na blaski turnic, na ich cienia.

Stado się kozic rozprzestrzenia;
Nadziemskich lotów ptak łakomy
Rozwija skrzydeł swych ogromy,
Świstak gdzieś świszcze z pod kamienia.

A między zielska i wykroty,
Jak lęk, jak żal, jak dech tęsknoty,
Wtulił się krzak tej dzikiej róży.

Przy nim, ofiara ach! zamieci,
Czerwonem próchnem limba świeci,
Na wznak rzucona świstem burzy...

4

O rozżalenia! o wzdychania!
O tajemnicze, dziwne lęki!...
Ziół zapachniały świeże pęki
Od niw liptowskich, od Krywania.

W dali echowe słychać grania:
Jakby nie z tego świata dźwięki
Płyną po rosie, co hal miękki
Aksamit w wilgną biel osłania.

W seledyn stroją się niebiosy,
Wilgotna biel wieczornej rosy,
Błyszczy na kwieciu dzikiej róży.

A cichy powiew krople strąca
Na limbę, co tam próchniejąca
Leży, zwalona wiewem burzy...

CISZA WIECZORNA.

1

Rozmiłowana, roztęskniona,
Hen! od wieczornej idzie zorzy
Zamykać Tatry w swe ramiona.

Przed nią zawiewa oddech boży:
Wonie jedliczne i świerkowe
Ze swych lesistych wstają łoży.

A ona tuli jasną głowę
Do Osobitej, by wraz potem
Kłaść ją na piersi Giewontowe.

Po reglach muśnie li przelotem,
Czoło Świnnicy w żar rozpali
I Hawrań zleje krwawem złotem.

Tak mknąc po szczycie i po hali
Z ogniem tęsknicy ginie w dali...

2

Płonie kamienna Tatr korona,
A cisza siada między granie,
Rozleniwiała, rozmarzona.

Nad przepaściami niema stanie,
Senność przelewa w mgieł opary,
Po skałach wiesza zadumanie.

Ani się ozwie bór prastary:
Ona milczeniem gniecie smreki,
Unieruchamia ich konary,

Przez cały przestwór, przez daleki,
Głuchą za sobą tęskność wlecze,
Snać dźwigająca wieki... wieki!...

Za nią, jak zdrój, co ledwie ciecze,
Snują się ciężkie myśli człecze...

3

Owiana mgłami różowemi
Przystaje w drodze, zalękniona,
Przykłada ucho swe do ziemi:

Nic!... tylko gdzieś tam echo kona,
Tylko przygasa obłok krwawy,
Tylko blednieje Tatr korona.

Pomrok ogarnia skalne ławy,
A od nich płynie do stóp ciszy
Li jednostajny szmer siklawy.

Czasem zaklęty las zadyszy,
Albo wystrzelił krzyk pastuszy
I zmilkł... I ona znów nie słyszy

Nic w tej przeklętej, mrocznej głuszy —
Nic, prócz pojęku twojej duszy...

4

Rozmiłowana, roztęskniona,
Schodzi powoli od miesiąca
Zamykać Tatry w swe ramiona.

Po halach srebrne krople strąca,
Srebrzy potoków seledyny.
Ciche pacierze szeptająca.

Upłazy tuli w całun siny,
Szkliwy, jak przędze te pajęcze;
Blask żenie srebrny na gęstwiny.

Blask żenie srebrny na przełęcze,
Na wirchy, kopy, na grzebienie,
Na przepaściste ścian poręcze —

Blask naokoło srebrny żenie,
Z nim wyczerpanie i omdlenie...

5

Opadły Tatry i omdlały,
Gdy na nie cisza rozmarzona
Płaszcz zarzuciła wiewny, biały;

Gdy rozpostarła swe ramiona —
Srebrnej rozświetli mgławe smugi —,
Garnące czoła gór do łona:

Jak pas szeroki, jak pas długi,
Od Lodowego do Krywania,
A z nimi puszcze, stawy, strugi,

Szczyt się przy szczycie ku niej słania...
Ona omdlenie wciąż rozsiewa,
Aż w tym bezkresie wyczerpana,

Tuląc się gdzieś do limby drzewa,
Sama wraz z bólem swym omdlewa...

Z CYKLU „AKORDY JESIENNE".

3

Pełzam nieraz, jak gadzina,
śród bagnistych skryta łąk,
Jak potulne bydlę w jarzmie,
tak swój twardy zginam kark!
Nie śmiem wichrom spojrzeć w oczy,
nie śmiem wznieść ku chmurze rąk
I światłości niszczycielce
cisnąć groźby z spiekłych warg.

Nieraz patrząc, jak o skarby,
które pośród krwawych mąk
Zdobył wielki duch ludzkości,
czerń szachrajski wiedzie targ.
Ledwie wzgardę mam na ustach,
ledwie słowo, godne ksiąg
Zniewieściałych trubadurów,
ledwie łzawe krople skarg.

Nieraz — duszo, nie kłam sobie!
tych złowróżbnych słuchaj tchnień:
Wiatr jesienny ci urąga!
do swej dawnej mocy wróć!
Nie wystarczy, coś posiała
za ubiegłych, wiernych lat...

Zwiędnij, duszo, lub łzy swoje
na płomienne gromy zmień,
Skargi przemień w błyskawice
i z wyżyny swojej rzuć
W to roisko karlich płazów,
plugawiących boży świat.

8

Pieśni nasza! Niespożyta,
chociaż codzień w śmierci toń
Spycha ciebie ród grabarzy,
boś ich fałszom groźna wciąż:
Wielorybem płyń po morzach,
po rozłogach chartem goń,
A sokołem po niebiosach,
patrząc w słońce, mknij i krąż!

A zaklęta w ludzką postać,
przyłóż ucho, przyłóż skroń
Do wnętrz ziemi wulkanicznych
i gotowa bądź, jak mąż,
Ktory nie chce przyjść za późno...
z wichurami razem dzwoń,
Łkania burzy, bicie gromów
w jeden głośny akord wiąż...

Przejdź pielgrzymem świat ten cały:
w owych mrocznych izbach gość,
Gdzie nędzarze, z nóg lecący,
mają jeszcze siły dość,
By o głodzie i o chłodzie
błogosławić dziwnym snom,

Co im wróżą sytość, ciepło
i szeroki światła smug...
A gdy losy cię zawiodą,
pieśni, w złotych cielców dom,
Posadami jego wstrząśnij
i spiesz dalej śród swych dróg.

10

Pieśni nasza! Smętno tobie
i samotno? Czujesz ból,
Że ukochan przez cię człowiek
nie chcę słuchać twoich grań?
Że ten świat, co od wielbiących
twoją moc, jak pszczeli ul,
Tak się roił, dziś jest pusty?
O nie zważaj, pieśni, nań!

Graj obłokom, lasom szumnym,
trawom, zbożom naszych pól!
Jak tęsknica, owinięta
w pajęczyny wiewną tkań,
Tym rozdrożnym jęcz zaroślom,
do spróchniałych wierzb się tul,
Zwierzaj żale swe ruczajom,
na pradawnych kopcach stań.

Tam słuchaczy znajdziesz chętnych,
tam serdeczną znajdziesz brać,
Która ciebie nie odepchnie:
jej, wzgardzona pieśni, graj,
Na przestworza bezgraniczne
ślij swój głos, na tysiąc staj...

Z niewidzialnych rajów przyjdą
dusze piewców, dziś już snać
Zapomnianych, i z radością
witać będą w dźwięku twym
Zmartwychwstanie swych nadziei,
zapowitych w nowy rym.

14

Ziemio, droga rodzicielko!
ukochałem zagon twój,
Choć tak skąpem sypią ziarnem
rzadkie kłosy twoich zbóż,
Że głód wtargnął w nasze chaty,
że w nich żółty zasiadł znój
I wyblakłem patrzy okiem
na stół pusty, w pustą kruż.

Nieraz skrada się pokusa:
porzuć, mówi, ciężki bój
Na tym łanie bezpłodności,
do spoczynku głowę złóż,
Choćby nawet tym spoczynkiem
grób był cichy... Dłonie skuj,
By nie rwały się do pługa!
Obok sennych zaśnij dusz!

Ziemio, matko najemników!
Rodzisz plemię biednych sług,
Których nędza twa upadla,
przecież serce k tobie lgnie,
A źrenica trwożnie śledzi,
czy nie idą lepsze dnie.

Ziemio! ziemio! smutna ziemio!
Snać opuścił cię sam Bóg,
Lecz przeklęta myśl niech będzie,
coby chciała szepnąć mnie,
Abym zboczył choć na chwilę
z twych żałości pełnych dróg!

15

Wstań, orkanie! Wstań, orkanie,
Stutysięcznych głosem trąb
Hucz na sądy bezlitośne!
Próchna kości z grobów zbudź!
Na dolinę Jozafata
osłupiały pognaj kłąb
Zmarłych wieków!... Przed godziną,
która chmurnie idzie pruć.

Krwią zbarwiona toń przyszłości,
niech ich cienie za tę krew
Odpowiedzą jękiem, wyciem,
zgrzytem, dreszczem, rzeką łez!
Dies irae! dies illa!
Świat się kruszy na twój zew!
Wstań, orkanie! Życie patrzy,
jak się życia zbliża kres!

Zbrodnia zbrodnię urodziła,
z grzechu powstał wielki grzech!
Z iskier iskry się sypnęły
i wybuchnął ogniem proch,
Który wieki naznosiły
w ten kazienny wieków loch...

Wstań, orkanie!... Łódź Charona
z burzą płynie! Dziki śmiech
U bram śmierci przyjął życie!
W morzu krwi zatonął ląd!
Wstań, orkanie! Za śmierć życia
wieki pędź na straszny sąd!

18

Patrzy dusza osłupiała:
Tu z trzepotem skrzydeł burz
Kuruingów mkną zastępy,
czy Atylla, wichrem gnan?
Tam z liliami w chudych rękach
lub na czołach z wieńcem róż
Rozśpiewane tłumy dziewic
zaścielają śniegiem łan.

Planetarne tutaj drogi
kreślą mędrce, przyjście zórz
Dla piwnicznych ciemnic ziemi
wieści prorok, a tam z ran
Stygmatycznych krew ocieka,
tutaj kaci ostrzą nóż,
Lub stos niecą, a tam nagość
w rozpasany idzie tan.

Zamęt ślub wziął z dysharmonią...
Ach! uciekać w ciała mir!
Ale dusza jak zaklęta:
wszystek słuch swój, wszystek wzrok
Śle w tych linii, barw i szumów,
w tych akordów dziwnych tłok...

Patrzy... słucha dusza moja,
aż ten chaos, aż ten wir
W jeden zgodny hymn się zlewa,
brzmiący w okrąg — w szerz i w wyż:
Jednem stał się dźwięk z jękami,
jednem z krwawą chustą krzyż...

GINĄCEMU ŚWIATU

ŚWIĘTY BOŻE, ŚWIĘTY MOCNY.

O niezgłębione, nieobjęte moce!

Skrzydłami trzepocę
jak ptak ten nocny,
któremu okiem kazano skrwawionem
patrzeć w blask słońca...

Święty Boże! Święty Mocny!
Święty a Nieśmiertelny!...

A moje skrzydła plami
krew, która cieknie bez końca
z mojego serca...
A oko moje zachodzi mgłą,
która jest skonem
i mego serca i duszy mej!

Niech będzie skonem i Twoim!
Święty Boże! Święty Mocny,
Święty a Nieśmiertelny,
zmiłuj się nad nami!
I niechaj łzy,
które o jasnym poranku
wiszą na kłosach wypoczętych zbóż
lub szkliwą pianą okrywają kępy
w sen otulonych traw,
zmienią się w głośne skargi
i bezustanku
płyną do Twoich zórz...

Niechaj rozszarpią na strzępy,
na krwawe szmaty
łuny świtowe, powstałe nad ziemią,
gdzie ból i rozpacz drzemią,
ogromne, przez Szatana zapłodnione światy
a może przez Ciebie,
o Święty, Nieśmiertelny, Święty, Mocny Boże!

Dlaczego moje li wargi
mają wyrzucać krwawą pieśń?!
Płacz ze mną!
Dlaczego sam mam iść w tę przestrzeń ciemną,
choć żar południa pali się w przestworze?...
Dlaczego sam mam wlec się na rozdroże,
ku tym pochyłym krzyżom,
którym na czarne ramiona
kracząca siada wrona
i dziobem zmarłe rozsypuje próchno?

Niech głuche żale nie głuchną!...

Idź ze mną!

Zrzuć z Siebie, Ojcze, nietykalne blaski!
Zgarnij ze Siebie tę bożą,
tę władającą moc, co nad wiekami
nieugaszoną płomienieje zorzą
i światłość daje światom
i światy w swoim ogniu na popioły trawi!
Stań się tak lichy, jak ja, i skulony
i, doczesności okryty łachmanem,
wlecz się nieszczęsnym łanem
za kluczem w dal przymgloną ciągnących żórawi,
ku cichej, na rozstajach kopanej mogile
zapomnianego człowieka!
Albo w swej całej, wiekuistej sile,
w całej potędze wszechmocnego bytu,
stań przy mym boku

i duszę moją rozszerz do Swego bezmiaru
i oczy moje, w smutku zapatrzone strony,
rozewrzyj, królu globów, pełnych żalu,
do nieobjętych orbit,
i wlecz się, wlecz się ze mną na samotne pola,
ku tym ostami porosłym przydrożom,
gdzie, kurzem obsypana, ślepa siadła Dola...
A wiatr rozwiewa jej włosy
i żwir jej w puste sypie oczodoły,
a słońce, rozpaliwszy bezdenne niebiosy,
pali jej żółte, pomarszczone skronie
i po policzkach leje strumień żaru,
w bezdźwięczną skórę piersi wysuszone zmienia
i wargi jej roztwiera, daremnie łaknące
ach! rzeźwiącego zbawienia...
A dzwon się rozlega,
z jękiem się czołga po spalonej łące,
z płaczem się wznosi nad umarłe błonia,
łkaniem wyschnięte chce poruszyć wody
i zrozpaczony zamilka u brzega
i znów się zrywa i jęczy i płacze
i łka i płynie i płynie i płynie
w tej rozpłakanej godzinie...
A jako widna ta ziemia, wspaniała
wielką godziną konania,
niepogrzebione wokół leżą ciała,
a ci się wloką, popędzani mocą
strasznego lęku.
A każda głowa ku ziemi się słania,
każde kolano się chwieje,
a krzyże posmutniałe drżą w wychudłych ręku,
a w wietrze chorągwie trzepocą,
a w martwem, niemem słońcu gromnice się złocą,
a Śmierć przed tłumem kroczy,
wielkiemi kroczy odstępami
i z śmiechem na trupich ustach
wywija kosą stalową,
połyskującą w południowym skwarze.

A nad jej głową,
jak wieniec z czarnych ziół,
rozkwitłych podmuchem żałoby,
gdzie drzemią stuleci groby,
zgłodniałych kruków krążą stada
chmurą ściemnioną
i, wysunąwszy dzioby,
żądliwie chłoną
ten wiew, który idzie od ziemi —
trujący, śmiertelny wiew...
A ona, świata przebiegając smug,
kroki swe liczy na mile
i kosą zatacza łuk,
że, jako zboże w dzień kośby,
tak pokolenia padają
na nieskończonym obszarze,
który jej mocy oddał się spokojny,
który jej mocy oddał się bezwiedny...

O dzwonu łkające prośby!
O szumie więdnących drzew!
O Boże, Święty Boże! Święty a Nieśmiertelny!...

A ci się wloką,
blasków słonecznych odziani powłoką.
A dzwon się rozlega
w blasków słonecznych pozłocistym pyle,
opadającym na zielska przydroży,
na melancholją okryte przecznice,
na grób samotny
zapomnianego człowieka...
Kopcie samotny grób!
Niechaj w nim kości położy
ten, który z matki żywota
wyniósł nieszczęsny los!
Nieokiełznana gnała go tęsknota
za widmem bólu,
który sam jeden

wszechmocny posiada głos,
który sam jeden rozpieśnia
duszę słabego człowieka
w natchnioną pieśń,
zapładniającą światy...
Kopcie samotny grób,
pośród krwawników kopcie i dziewanny,
u stóp
próchniejącego krzyża,
gdzie w południowy skwar
bratnie się schodzą duchy,
tłum zapomnianych mar,
i, wśród spalonej usiadłszy murawy
jęk wyrzucają głuchy
z skrwawionych łon...
A jęk ten idzie po zżętych zagonach
razem z tą pieśnią, którą jęczy dzwon —
na rżyskach rusza porzucone kłosy,
czarnemi ożyn jagodami chwieje
i wierzb płaczących srebrne czesze liście
i szumi w wierzchach czerwonych chojarów...
Kopcie samotny grób
tam, na tej miedzy szerokiej,
gdzie rośnie łopian chropawy,
gdzie srebrne lśnią się podbiały,
gdzie aksamitna bylica
rozpierza miękkie swe kiście!
Tam, gdzie ten parów
sączy resztkami wody,
gdzie ten wądolec ospały,
gdzie ci się wloką,
blasków słonecznych odziani powłoką,
gdzie się nad drogą kurzu wzbija słup,
kopcie samotny grób!
Gdzie ziemia pęka od żarów,
gdzie każda jej grudka
pełna jest znojów

i krwawych prób,
gdzie dzwon się rozlega,
gdzie w wietrze chorągwie trzepocą,
gdzie się gromnice złocą —
kopcie samotny grób!
Gdzie w dali pobłyskuje jezioro tęskniące,
gdzie jaskier więdnie na łące,
gdzie opuszczone mogiły,
te kopce poległych wojów
nielitościwy rozorywa pług,
rdzawe szablice wyrzucając z wnętrza,
dziś wroga zbrodniczy łup,
tam wy samotny, cichy kopcie grób!...
Niechaj w nim kości położy
ten, który powstał z tej ziemi,
który miał w sobie jej trud,
jej tajemniczy jęk,
idący z głębin przestworzy
w południa senny skwar.
Niechaj w nim spocznie na wieki
ten, który zabrał z jej chat
żalniki łez
i czekał, kiedy przyjdzie wybawienia kres,
i z jej szumiących zbóż
zgarniał ten dziwnie przejmujący szum
i w swoich dum
treść go zamykał i w świat
jak wielką świętość niósł.
I żal go zdejmował,
że mu nie daną była moc,
by zmienić w triumf te łzy;
że nie miał siły,
aby te szumy żałobne
w jakiś weselny,
w jakiś radosny hymn się rozpieśniły!
I, obarczony przekleństwem najdroższych,
stanął na drodze w dzień tuczy,

jak krzew pogięty,
i z piorunami w zawody
rozpaczą grzmiał!
A burza huczy i huczy,
a chmur się kłębi wał,
a wiatr mu deszczem miecie w ślepe oczy,
a grzbiet mu drży, jak brzoza wśród pustego pola,
a ślepa na przydrożu przykucnięta Dola
śmieje się dzikim śmiechem,
że się nie spotkał z echem
ten rozpaczliwy głos,
że go wchłonęły odmęty
tej burzy!
Że w tej śmiertelnej podróży,
w tej drodze znojnej,
na tym zsieczonym łanie
upadł, bezsilny człek,
do wichru zwalił się stóp.
Kopcie samotny grób!
A Ty, o Święty,
o Nieśmiertelny,
który swym jednym oddechem
wypełniasz wieków wiek,
Ty od powietrza, głodu i ognia i wojny
i od Szatana, który w dom przychodzi
i dusze zwodzi,
zachowaj nas, Panie!

Świat dół swój grzebie
od pierwszych dni,
a w obramieniu Trójkąta
Twe oko lśni
nad węgłem niebieskiej bramy...
A my wołamy do Ciebie,
a my wzdychamy,
Ewy nieszczęsne dzieci...
A z głuchym łoskotem

na trumnę sypią się grudki
ziemi, oblanej potem,
ziemi, oblanej krwią...
A naokoło zapadłe mogiły
i cicho łkające smutki
wśród trawy, co z cichym szelestem
pożółkłe liście kołysze.
A światłość wiekuista biednym ludziom świeci
w tę podróż ciemną...
Jestem!
I Ty jesteś tu ze mną!
Przerwij tę ciszę!
Niech Twoje słowo gromowe
zagrzmi nad wielkim cmentarzem!
Radosne niech głosi nadzieje!
Niech zapomniani wstaną,
a żywym niechaj życie nie będzie ponurym,
wieki kopanym dołem!
Zmiłuj się, zmiłuj nad nami!
Z kornem błagamy czołem!
Spuść Swoją łaskę na tę naszą głowę,
na oczy, zmroczone łzami!
Zmiłuj się, zmiłuj nad nami!
Daj spiekłym łanom
rzeźwiący deszcz!
Nie zsyłaj gradu,
który nam zboże zsiecze, nim dojrzeje...
Nie trać naszego dobytku
w owcach i koniach!
Trzymaj zdaleka pomory,
które nam biją
ostatnią krowę z obory!
Ze zboża wypleń sporysze
i chwast kąkolu
i w ręku trzymaj swe chmury,
by się nie rwały
i nie topiły w ulewie
snopów na polu!

Niechaj nie płaczą stulecia!
Niech mróz spóźniony nie warzy nam kwiecia
na ledwie rozkwitłem drzewie,
na naszych wiśniach i gruszach,
na naszych starych, pochyłych jabłoniach...
I wdzięczność rozpal nam w duszach,
byśmy twe dary godnie oceniać umieli.
O pełen kary
i przebaczenia pełny!
Chociaż ci nasze te grzechy utrudnią
stanąć nad niemi z powieką zamkniętą,
niech Twoja litość stokroć większą będzie,
niżeli wszystek nasz grzech!
O Panie!
Nie daj wysychać studniom!
Niech się Szatana nie rozlega śmiech!
Na naszej grzędzie,
gdzie ciężki trud rozpoczęto,
niech trud ten żniwem się stanie!
Spraw, aby w wielkie, uroczyste święto,
w tę chwilę wesołą,
gdy na organie
i śpiewem i kadzidłem wielbimy twą moc
i dobroć Twoją,
nie była dla nas potrzeba
skąpić dziecinom chleba!
Chroń nas od zdrady
i daj nam tyle,
byśmy we własnej spoczęli mogile;
by nasze dzieci czy wnuki,
gdy przyjdzie im dla ojców starych kopać grób,
nie były przymuszone iść między sąsiady
i prosić o jałmużnę ach! na cztery deski,
na prostą, białą skrzynię z naznaczonym smołą
krzyżem u głowy...
Ojcze niebieski!
Na pokropienie daj

i aby grosz był gotowy
dla dziadka proszalnego, co w gorącej wierze
ciche odmówi pacierze...
A jeśli ziaren swych łask
nie zechcesz równać strychulcem
po brzegi swej szczodrej ćwierci,
od nagłej i niespodziewanej śmierci
racz nas zachować, Panie!
I niechaj w wietrze chorągwie trzepocą,
niech się gromnice złocą,
niech blask ich płynie w ten słoneczny blask!
Pogrzebne niech zabrzmią śpiewy
nieszczęsnym dzieciom Ewy!
Padłym na znojnym łanie
niech dzwoni żałobny dzwon,
niech szumi z tej trawy szelestem...
Święty Boże! Święty Mocny!

Jestem!
Jestem i płaczę...
Biję skrzydłami,
jak ptak ten ranny,
jak ptak ten nocny,
któremu okiem kazano skrwawionem
patrzeć w blask słońca...
A u mych stóp
samotny kopią grób,
a czarna wrona,
na Bożej męki usiadłszy ramiona,
bez końca
kracze i kracze
i dziobem zmarłe rozsypuje próchno...
A ci się wloką,
świetlistą mgieł sierpniowych odziani powłoką,
jak cienie,
do wielkiej się wloką mogiły...

Za nimi dziewanny
z piaszczystych wydm się ruszyły.
z miedz się ruszyły krwawniki,
z poza zapłoci bez się ruszył dziki,
tatarak zaszumiał w wądolcach
i, z mułu otrząsnąwszy pachnące korzenie,
idzie wraz z niemi...
Z mokradeł kępy rogoży,
z przydroży
osty o żółtych kolcach,
szerokolistne łopiany,
senne podbiały,
fioletowe szaleje,
ciernisté głogi
wstały
i idą...
Liśćmi miękkiemi
wierzb zaszeleścił rząd
i w cichej, rozpaczliwej sunie się żałobie
śladem ich drogi...
Całe rżyskami zaścielone łany
oderwały się w tej dobie
od macierzystej ziemi
i, niby olbrzymie ściany,
wzniosły się w górę i płyną,
tą wielką żalu godziną...
A Ty, o Boże!
o Nieśmiertelny!
o wieńcem blasków owity!
na niedostępnym tronie
siedzisz pomiędzy gwiazdami
i, głową na złocistym spocząwszy Trójkącie,
krzyż trójramienny mając u swych nóg,
proch gwiazd w klepsydrze przesypujesz złotej
i ani spojrzysz na padolny smug!
Zmiłuj się, zmiłuj nad nami!

Słońcom naznaczasz obroty,
gasisz księżyce,
jutrznie zapalasz i zorze
i płodzisz zasiew na byty,
na pełne cierpień żywoty,
które tu muszą mrzeć,
w samotny kłaść się grób...
Zmiłuj się, zmiłuj nad nami!
O Boże!
O Mocny!
Ty się upajasz wielkością stworzenia,
a pośród nas tu głód!
Jak bedłki, tak, jarmużu syty, ginie lud.
A jako ryczący lew,
Szatan po ziemi tej krąży,
na pokolenia
zarzuca zdradną sieć,
w synu na ojca zapalczywość budzi,
wynaturzony gniew,
że syn przed ojcem zamyka swój dom!
Bratu na brata wciska krwawy nóż,
a nasze siostry i żony
na straszny rzuca srom...
Podpala nasze stodoły
z garstką zwiezionych świeżo zbóż,
mordy narodów wszczyna i pożogę
sieje na miasta i wsi
i przekleństwami znaczy swoją drogę...
O zniszczeń dymiące dni!
A my, ten ród potępiony,
krzyże ująwszy w dłonie
i zblakłe w krwawym pochodzie,
trupiemi piszczelami znaczone chorągwie,
idziem o głodzie
po tym śmiertelnym wygonie,
w ten znojny
w ten nieszczęśliwy czas,

w którym konają wieki
i wraz się rodzą nowe
na cięższą jeszcze niedolę —
idziemy, biedną pochyliwszy głowę,
jak ten zsieczony las —
Idziemy, a kres tak daleki!
A lęk niespokojny
biczem popędza nas
i dech zapiera wśród łon...
A naokoło rozlega się dzwon,
na to cmentarne przelewa się pole,
na te wyschnięte rzeki,
w chojary żałobą swą godzi,
że te się kładą na piaszczystym łanie..
A pierś nasza łka,
a w oku błyszczy łza,
a ptak ciężko ranny
uderza w skrzydła, krwią ociekające,
a jaskier więdnie na łące,
a z nami idą dziewanny
i krwawnik i wodne lilije,
a mór nam bydło bije,
a dom się nasz pali,
a siostra utonęła w rozpienionej fali,
a ojciec gdzieś daleko w strasznej zginął bitwie,
a Złe urąga modlitwie...
Cóż z nami się stanie!?
O Ty, łaskami hojny,
Ty, od powietrza, głodu, ognia i wojny,
od nagłej i niespodziewanej śmierci
i od Szatana, który w dom przychodzi
i dusze zwodzi,
zachowaj nas, Panie!...

Nie skłonił się jeszcze dzień,
a Szatan z moczarów łożyska,
gdzie nocą ognikami błyska,

z czeluści błota wstał
i, gdy najkrótszy słońce rzuca cień
na te manowce, na te ścierniska,
pod ramię chwycił Kościotrupa
i wzrósł nad jego niebosięgłą stal —
nad Ciebie, Boże, wzrósł!...
Masz-li Ty grom —
Masz-li Ty chmurę w ten południa skwar,
aby z niej piorun padł
i od Szatana uwolnił ten świat?...
Wal błyskawicą, wal!
Niechaj się łamie,
niech się rozkruszy ta zdrada,
która nad życiem i nad śmiercią włada!...

. . . .

Szatanie!
Ty Kościotrupa chwyciłeś pod ramię
i nad wysokość jego ostrej kosy
wzrosłeś w niebiosy —
a grom nie pada!
Z nieukojoną żałobą
klękam przed Tobą!
Zlituj się, zlituj nad ziemią,
gdzie ból i rozpacz drzemią,
gdzie ból i rozpacz dzwonem się rozlega
i w strasznej pieśni brzmi...
Szatanie!
Kop mi samotny grób
na opuszczonym łanie,
u krzyża czarnego stóp,
pod gliny powłoką rdzawą!
A iżby nie porósł trawą,
tańcz na nim taniec piekielny
po wszystkie dni!...
A Ty, o Święty!
A Ty, o Mocny!

Ty Nieśmiertelny,
proch gwiazd przesypuj w Swej klepsydrze złotej
i płodź żywoty,
aby tak klęły, jak ja;
aby płakały, jak ja;
aby w szarpiącej modlitwie,
co jako dzwon ten łka,
o zmiłowanie prosiły;
aby się wlokły z gromnicami w dłoni
ku tej nieznanej ustroni,
do tej — ostatniej mogiły;
aby tak wyschły, jak łza,
której już oko me płakać nie może;
aby tak marły, jak ja —
o Święty, Nieśmiertelny! Święty, Mocny Boże!

MOJA PIEŚŃ WIECZORNA.

On był i myśmy byli przed początkiem —
niech imię Jego będzie pochwalone!
Razem z gwiazdami byliśmy i słońcem,
zanim się gwiazdy i słońca
jęły rozbijać w swych kołach,
zanim się stało to, co cię pożera.

O duszo, spragniona miłości,
o duszo, spragniona spokoju!
On był i ty w Nim byłaś przed początkiem,
nim jeszcze miłość i spokój
stały się ogniem trawiącym,
zanim się stały zabójczą tęsknicą
i tem kamiennem, ślepem przerażeniem...

Dzień mój przygasa —
za wielkim, niebotycznym przygasa mi szczytem,
krwawą za sobą zostawiając zorzę,
która się czepia ogniami
tych oto smreczyn i ścian poszarpanych,
zatartych śladów moich stóp.
Dzień mój przygasa, ten złoty,
ten lazurowy, ten słoneczny dzień,
w błogosławieństwie swych drogich promieni
więżący klątwę dla człeka,
dla zbłąkanego pielgrzyma.
Niech gaśnie! niech ginie!
Niech upragniony nadejdzie już wieczór
ze swoją ciszą wieczystą,
która ci mgłami szepce miesięcznemi,

że zanim miłość i spokój
stały się ogniem trawiącym
zanim się stały zabójczą tęsknicą
i tem kamiennem, ślepem przerażeniem,
On był i myśmy byli przed początkiem.

Błogosławioną niech będzie ta chwila,
kiedy się rodzi wieczorny hymn duszy!
Kiedy od cichych pól,
od rżysk i rzecznych pobrzeży,
od przecznic i od ugorów,
od wypaczonych chat
i od tych stodół zwietrzałych
chłopięca płacze piosenka:
A grajże mi, piszczałeczko,
a grajże mi, graj!
Uliniłem cię z wierzbiny,
gdzie ten potok srebrno-siny,
gdzie ten szumny gaj!
Pani pana tam zabiła,
zieleni się hej! mogiła,
zieleni się hej!
A cierniste krzewie głogu
kwiat swój sypie po rozłogu,
a szept idzie z kniej!...
A dusza słucha i słucha...
A dzień jej przygasa,
a ona śladem tęsknicy
płynie rozlewną falą księżycową,
rosami płynie, lśniącemi na łąkach,
i wierzchołkami ukojonych drzew
i grzbietem białych gór
ku onym dniom zapomnianym,
gdy miłość i spokój
nie były ogniem trawiącym,
ani kamiennem, ślepem przerażeniem.

Przestwór się przed nią rozszerza
i, przepełniony wiekuistą nocą,
topi w swych głębiach wszystko, co ją zmogło
urągowiskiem i grzechem
i wypełnioną pokutą,
wstydu i hańby pociemniałą twarzą
i podeptaniem świętych, bożych praw
i krwawą zemsty pochodnią
i bólu, bólu strasznego
tak pożądanem, a tak żrącem widmem.

Błogosławioną niech będzie ta chwila,
kiedy się rodzi wieczorny hymn duszy!...
Na senne kwiaty wystąpiła rosa,
na łąk płaszczyzny, na ciemny łan zboża,
a ona siadła u brzegu jeziora
i rozmodlona patrzy w jego głębię —
i oparami wznosi się nad wielką,
nad uciszoną, rozmodloną wodą —
i słucha i patrzy i szepce
swoje wieczyste pacierze.
Z zapadłych wiosek płyną rozhowory,
w bagniskach dzikie odzywa się ptactwo,
a gdzieś w pustkowiu, a gdzieś na rozstaju,
w samotnej chacie połyskuje światło,
a tam! zdaleka cicha idzie Śmierć.
Od zórz zachodnich, w ziół zasypiających
rozkosznej woni piosnka się kołysze,
nad niemowlęcia kolebką wysnuta:
O tej radości, o tem weselu,
o tem cudownem, ukrytem zielu
z za siódmej góry, z za siódmej rzeki,
które na smutek słodkie ma leki.
O tej godzinie, co szczęście niesie,
pieśń się kołysze po krzach, po lesie,
po falach żyta pieśń się kołysze
w tę uroczystą, wieczorną ciszę,
a w ślad za pieśnią cicha kroczy Śmierć...

Wyszła z dziedziny, gdzie miłość i spokój
nie są-ci ogniem trawiącym,
ani zabójczą tęsknicą,
ani kamiennem, ślepem przerażeniem,
i w świat podąża, ku onym rozstajom,
k'temu pustkowiu, ku chacie samotnej,
k'temu słabemu, czerwonemu światłu...
Ścieżyną zdąża i traktem szerokim,
po drodze zerwie jakiś kłos zielony,
albo też listek topoli
i w zamyśleniu rzuci je pod nogi.
Lekkiemi stopy przygnie jakąś trawkę,
lub owad zdepce na miedzy,
albo swą długą, białą, przezroczystą
zanurzy rękę w staw
i jego srebrną powierzchnię
powlecze rdzą opalową.
Czasem w tym swoim pochodzie
siądzie na chwilę pod krzyżem pochyłym,
na opuszczonej mogiłce,
i, głowę ukrywszy w dłonie,
głębokim jękiem zapłacze,
rozlewającym się na okrąg świata.
A potem wstaje i traktem rozległym,
albo miedzami idzie znów śród zbóż
k'temu pustkowiu, gdzie w chacie samotnej
czerwone, słabe połyskuje światło.
A za nią snuje się smuga
sinych oparów i mgieł,
na których ciężkiem, dalekiem obrzeżu
zachodnia krwawi się zorza...

Czemu nie gaśniesz, ty zorzo?...
On był i myśmy byli przed początkiem,
zanim się stało to, co nas pożera!
Czemu nie gaśniesz?!

Ach! jak się w twoich płomieniach
palą te grona jarzębin!
Jak się rozżarza ten żwir —
ten szary piasek na drodze pątniczej!
Wybaw człowieka, o Panie,
od żagwi gniewu Twojego!
Dusza ci śpiewa psalm, jak niegdyś, niegdyś —
śród koralowych jarzębin,
przy rozszumiałych, wielkich polach zbóż,
przy tajemniczych pogwarach tych lip,
rozkołysanych Twym świętym oddechem...
Pokorna, cicha, nieskalana dusza
stoi u wrótni kościołka
i psalm Ci śpiewa, tak wieczny,
jak wieczną ona i Ty!
Na roztęczone mgławice kadzideł
kładą się dźwięki organów,
majestatyczne, cudotwórcze dźwięki,
i podpływają ku cichej, pokornej,
ku nieskalanej, ku skupionej duszy,
klęczącej w progu świątyni.
Grona jarzębin rumienią się w słońcu,
prastare lipy szumią hymn pierwotny,
przenikający głębinę jestestwa,
łan się kołysze, rozłożysty, złoty,
w oknach świergocą jaskółki,
nad poszeptami pacierzy
nieprzeliczonych pątników
białe wzlatują gołębie,
a w rozmodleniu milczącem,
na skrzydłach psalmów, tak wiecznych,
jak wieczna ona i Ty,
wznosi się dusza ku Tobie.
Bo gdzież jest większy Pan i król i władca?
Gdzież moc Ci równa i równa potęga?
Sam z Siebieś powstał, majestat Twój płonie
na tym z wieczności zbudowanym tronie.

Z Siebie stworzyłeś ten przestwór bez końca
i z Siebieś w niego rzucił żar na słońca.
Istnienieś Swoje zamknął w prochu ziemi
I wichr piersiami oddycha Twojemi.
Duszę człowieka wywiodłeś ze Siebie
wraz z duszą globów, świecących na niebie.
Tyś, Boże, ziarnem i kłosem i listkiem,
Wszystko jest z Ciebie i Ty jesteś wszystkiem
i przez Cię Wszystko, nieśmiertelny Panie,
ma nieśmiertelne w Tobie królowanie.
Gdzież moc Ci równa? gdzież równa potęga?
Gdzież jest ten płomień, co skry Twej dosięga?
Gromem przemawiasz w łyskającej tuczy,
głos Twój morzami i wulkanem huczy,
trzęsieniem ziemi ogłasza Twe wieści,
lub słodko szumi, szemrze i szeleści.
Straszliwym bywasz w Swym monarszym gniewie:
rozkwitłe pola zatapiasz w ulewie,
żagwią pożarów godzisz nam w zagrody,
bijesz dobytek i zatruwasz wody.
Lecz kto opiece Twej odda się szczerze,
tego Twa łaska od złego ustrzeże.
Bo czyjaż dobroć Twych bezmiarów sięga?
Gdzież moc Ci równa i równa potęga?...

Błogosławiona niech będzie ta chwila,
kiedy się rodzi wieczorny hymn duszy,
tej nieskalanej, pokornej i cichej!...
On był i myśmy byli przed początkiem —
chwalmy i wielbmy Jego święte imię!

Czemu nie gaśniesz, ty zorzo,
nad oceanem tych ciężkich oparów,
co pochłonęły me słońce?
Księżyc się dźwignął ponad węża gór,
osrebrza brzegi obłoków,
lśni się na rysach śnieżystych;

od wschodu pełza cicha noc,
stoki swym wielkim przytłacza spokojem,
a ty się palisz!
Stamtąd — od nizin dalekich,
usypiających poza stu wodami,
poza tysiącem dróg,
jakieś się echo przyczołguje w dusze —
Cicho!
To płacz tej dawnej, chłopięcej piosenki:
A grajże mi, piszczałeczko,
a grajże mi, graj!
Uliniłem cię z wierzbiny,
gdzie ten ruczaj srebrno-siny,
gdzie ten szumny gaj!
Ach!...
Przeorałem łan o świcie —
od pola, do pola,
kąkol wyrósł w mojem życie,
dolaż moja, dola!
A graj-że mi, piszczałeczko,
a graj-że mi, graj!...
a graj-że mi, graj!...
Czemu się żagwisz?...
Niech raz już wszystko zagaśnie!
Jarzębina się rumieni,
szepcą lipy stare,
suchy piasek się podnosi — — —
Czemu nie milkniesz, ty zorzo?
Dlaczego krzykiem ognistym,
wystrzelającym z tych przepastnych szczelin,
pomiędzy dwiema piekielnemi ściany,
tak mnie oślepiasz i tak mnie ogłuszasz,
że dojść nie mogę do kresu?
Dzień mój już przygasł,
a zorza jego się krwawi,
jakby się krwawić miała w nieskończoność!...

Wszystko pożera swemi płomieniami —
duszę mi pali i świat cały pali!
Z olbrzymich snopów ognia,
jakby młóconych niewidzialnym cepem,
sypią się ziarna skier
w okrąg na niebo i ziemię!
Księżyc się zajął
i, w mgnieniu oka wyrósłszy
w ogromną kulę ognistą,
zaczyna rwać się w kawały
i płomiennemi wali się bryłami
na cielska płonących gór,
na popiół smreków spalonych.
Płoną jeziora,
sto wód się pali
i tysiąc dróg!
Z rozszalałego wnętrza ziemi
ogniem buchają wulkany,
gwiazd miliony tną błyskawicami
spieniony potop płomieni
i z hukiem
giną w czeluściach czerwonych...
Boże!
Czemu mnie karzesz?
W tych rozżarzonych stanąłeś przestworzach,
cały spłomienion, większy niż przestwory,
z krzyżem, ogromnym, płomienistym w dłoni
i rozżagwiony rzucasz na mnie świat...
Karz mnie!
Bom-ci ja człowiek, który wyszedł z grzechu
i prześladowan był przez grzech — do końca!
Moja to wina!
Bo oto moja nieprawość,
mnoga, jak iskry tych ogni,
przeszła granice, Panie, Twych zamiarów!
Ojcam się wyparł,
a kiedy zamknął powieki,

krzyża-m na jego grobie nie postawił,
bom go nie prosił o garść tego błota,
o nędzny żywot ten!
Moja to wina, moja wielka wina!
Matkę-m wypędził z domu, by nie jadła
strawy, porwanej większym, niż ja, tchórzom —
a wypędziłem ją w czas, gdy nad ziemią
przebiegał tuman nawałnic,
aby jej w drodze, w bezludnem pustkowiu,
oczy wyżarły błyskawice,
a dąb, walący się od gromu,
aby ją przygniótł swą kłodą na wieczność!
Moja to wina, moja wielka wina!
Oślepłą siostrę spotkawszy żebrzącą
u wrót wspaniałej katedry,
nie czułem tyle odwagi,
aby się dotknąć jej ręki wyschniętej
i, na jej krwawe wskazując orbity,
głupim powiedzieć lwom i pustym lwicom:
Idźcie! mnie łaski waszej nie potrzeba —
to siostra moja! przy niej mi pozostać!
Moja to wina, moja wielka wina!
Psa, który zaszedł mi drogę
i z głodu zęby wyszczerzył
i miłosierne wlepił we mnie ślepie,
kopnąłem nogą,
aż ze skowytem padł pod moim płotem!
Robaka-m zdeptał —
tysiące owadów
miażdżyłem stopą, wlokąc się przydrożem,
ażeby duszę znudzoną
orzeźwić wschodem lub zachodem słońca.
A pnąc się w górę, ku rzeźbionym grotom,
ku tajemniczym snom stalaktytowym,
albo ku wirchom, skąd pycha
wygraża światu pięściami z granitu,

kazałem ścinać pachołkom
gałęzie smreków młodziutkich,
gdyż iglicami drażniły mi skronie...
Zabiłem brata,
bo mi się worał w miedzę
i naręcz owsa mi wyżął
dla swego konia —
moja to wina, moja wielka wina!
Chęć mi raz przyszła obłędna,
ażeby kopać dla siebie mogiłę,
bo mi się życie stało cmentarzyskiem,
i w tę mogiłę wtrąciłem bliźniego,
tak, że oszalał między umarłymi!
Moja to wina!

. . . .
. . . .
. . . .

Karz mnie!
Karz mnie!
W tym rozżagwionym przestworze
masz krzyż z płomieni, większy, niż ten przestwór,
więc bezlitością swych płomiennych rąk
wyciągnij członki moje do ogromu
Twojego krzyża, na którymś zawisnął
Ty sam, o Panie! ongi przed początkiem,
kiedyś się zmuszał, by spokój i miłość
przemienić w ogień trawiący
i w skamieniałe, ślepe przerażenie!
Kiedyś ze swego spokoju
i swej miłości
wydzielał słońca i gwiazdy,
by rozbijały się w swoich elipsach,
aby się stało to, co nas pożera!
Karz mnie, człowieka, co krąży po świecie
z brzemieniem winy na ugiętym grzbiecie.

Wagę masz w ręku i miecz sprawiedliwy,
z którego lecą skry na ludzkie niwy,
a pomsty Twojej płomienna potęga
od pokolenia w pokolenie sięga.
Krew nam wysusza i pożera kości
wieczysta wszechmoc Twej zapalczywości —
żadna się przed nią groza nie ostała.
Niechaj Ci za to będzie cześć i chwała
na wieki wieków, Amen, Amen, Amen!
Panie!
Kłamałem!
Zawiść i zazdrość tuliły się do mnie
zżółkłemi łony i, nagością swoją
opanowawszy mą duszę,
kazały zezem patrzeć mi na sławę
i na bogactwo rodzonego brata.
Kradłem —
w kościele Twoim rozbiłem skarbonę!
Moja to wina, moja wielka wina!
A raz w czarownem, wielkiem, ludnem mieście,
śpiesząc ku śmierci, która czeka na mnie,
chciwie wstrzymałem krok przed stosem złota
i błyskawicą, która idzie z Ciebie —
moja to wina, moja wielka wina!
myśl mi przebiegła haniebna:
Tak! wymordować czcicieli Molocha
i potem — zająć ich miejsce!
Panie!
Fałszywym byłem prorokiem
i nie umiałem powstrzymać bluźnierstwa
przeciwko Tobie, tak, jak dzisiaj bluźnię!
Krzywdy-m ja bratu nie przebaczył,
choć sam krzywdziłem — jak oszust!
Pogardę niosłem tłumowi,
jego sczerniałym, spracowanym dłoniom,
jego łachmanom, przesyconym potem!
Ornat na siebie kładłem i koronę
i, wziąwszy jabłko do ręki i berło,

kazałem klękać przed memi rozkazy,
jakby nie było Twego majestatu!
Moja to wina, moja wielka wina!
Okręty słałem na spienione morza,
a w bitwach, w mojem wszczynanych imieniu,
tysiące kładły się we krwi swej własnej,
a wszak Ty jeden masz prawo
na życie człeka wydawać wyroki!...
Moja to wina, moja wielka wina!
Karz mnie!
Bom-ci ja człowiek, skazany na karę,
bo dzień mój przygasa,
a zorza jego się krwawi
i świat się mój pali!
Bo dawno już przeszedł czas —
moja to wina, moja wielka wina!
gdzie miłość i spokój
nie były ogniem trawiącym
ani zabójczą tęsknicą
ani kamiennem, ślepem przerażeniem...

A graj-że mi, graj!...
Jarzębiny się rumienią —
suchy piasek się podnosi —
A graj-że mi, graj!...
On był i myśmy byli przed początkiem,
zanim się stało to, co nas pożera...

Błogosławioną niech będzie ta chwila,
kiedy się rodzi wieczorny hymn duszy!
kiedy na wieki — na wieki
gaśnie jej dzień — — —

BALLADA O SŁONECZNIKU

BALLADA O SŁONECZNIKU.

Stary, oślepły słonecznik
Sam jeden mi jeszcze pozostał
Z wszystkich mych kwiatów-przyjaciół
W tym zachwaszczonym ogródku;
Słyszałem-ci nieraz w nocy,
Jak wichr bez miary go chłostał,
Nie mogłem mu żadnej dać ulgi,
Chyba pociechę smutku —
Lepiej się puścić w tan...

Upiłem się kiedyś wieczór —
Wino zbawienną jest mocą: —
Pięścią wytłukłem szybę,
W gór łańcuch patrzę daleki —
Ponoć to śniegi tam leżą,
Ponoć to gwiazdy migocą,
Ciężary mroków wilgotnych
Na ciężkie mi spadły powieki —
Lepiej się puścić w tan...

Ponoć to łąki wyschnięte,
Bezlistne jasienie przy drodze,
To ponoć olchy nad bagnem,
To kępy zwiędłych rogoży;
Ponoć to ludzkie rozpacze
Puściły krokom swym wodze
I śpieszą w mgławych całunach,
Na pogrzeb litości bożej —
Lepiej się puścić w tan.

Ponoć i ja miałem braci,
Na straszną gdzieś poszli wojnę —
Śmierć rzekła mi o tem wszystkiem,
Całując spiekłe me usta — —:
Niech huczy ta czarna głębia,
To morze łez niespokojne
Niech wiatrem dyszy jesiennym
Ta ziemią, krwią ich tłusta —
Lepiej się puścić w tan...

Stary, oślepły słonecznik
Przez szybę się wciska stłuczoną
Do mej wesołej izdebki,
Pełnej zapachu wina:
Pożegnał się już oddawna
Ze swą złocistą koroną,
Łyse, sczerniałe skronie
Na piersi moje zgina —
Lepiej się puścić w tan...

Jak pies, tak łasi się do mnie,
Do mego tuli się lica:
Wielką uczułem kroplę
Na rozżarzonej twarzy:
Rosa mu z jamy pociekła,
Gdzie ongi była źrenica —
Stary, oślepły słonecznik
Głośno się, milcząc, skarży —
Lepiej się puścić w tan.

Nie drwij ze siebie i ze mnie,
Ty z moich druhów ostatni,
Wszyscyśmy na to stworzeni,
By błogosławić śmierci!
Niech rycerz ginie od stryczka,
Jesiotr niech dławi się w matni,
Bóg z swego tronu niech spada,
Włócznia niech w bok się wwierci — —
Lepiej się puścić w tan!

Nie będzie ci ulgą mój smutek:
Upił się dzisiaj radością,
Żeś tak nikczemnie zmarniał,
Ty, coś spoglądał w słońce;
Inne lekarstwo ci niosę,
Co daje próchnienie kościom,
A duszę, — hej! pijcie ze mną,
Pijani śmierci gońce,
Puście się razem w tan!

Ostatni liść z niego zdarłem,
Ostatniem wyłuskał ziarna,
Zrdzewiałą, twardą łodygę
Ręką chwyciłem pewną:
Z korzeni się pod me okna
Ziemia sypnęła czarna,
Stary, oślepły słonecznik
Snać łzą zapłakał rzewną —
Lepiej się puścić w tan...

Wstałem nazajutrz — czy zbawca,
Czy zbrodniarz? — hej! któż mi to powie?
Zbudziłem się w izdebce,
Pełnej zapachu wina...
Stary, oślepły słonecznik
Bez złotej korony na głowie
Jużci swojego smutku
Do smutków moich nie zgina —
Lepiej się puścić w tan...

CHWILE

KOPICE SIANA PO ŁĄKACH.

Kopice siana po łąkach,
Gdzieś w głębi lśnią wierchów garby —
Słońce się rozzuchwala,
Iskrzące sieje skarby.

Pod stromem huczy urwiskiem
Dunajec, wieczysta rzeka,
Ciemne go świerki strzegą,
On z szumem od świerków ucieka.

W samo południe, w godzinie,
Skąpanej w rozżarach złota,
Staje nad brzegiem potoku
Samotna ludzka tęsknota.

Więżącą porzuca izbę,
Powieki zmęczone przetrze,
Piersiami pełnemi chłonie
Przewonne, ciepłe powietrze.

Ku dalom, rwie się bezkreśnym,
W błękitów gubi się toni,
Lub z rozwartemi oczyma
Falne poszumy goni.

A fałdów jej sukni powiewnej
Czepia się dłońmi drżącemi
Żal cichy i szepce: Jak trudno
Rozstawać się z duszą tej ziemi...

GDY PRZYJDZIE CZAS.

Gdy przyjdzie czas, gdy przyjdzie czas
Odchodzić od pól tych i łąk,
Słońcu się nisko pokłonię,
Niebu pokłonię się w krąg.

O Boże mój, o Boże mój! —
Tak szepnę usty wdzięcznemi:
Dałeś mi wszystko, co mogłeś:
Zapach tej drogiej ziemi.

Żal będzie iść, żal będzie iść,
Ciężar zawiśnie u stóp,
Chyba, że w gór tych obliczu
Cichy sprawicie mi grób.

Tej roli piędź, tej roli piędź
Ostatnią mi będzie ostoją:
Tu się mej duszy tęsknice
Na wieki wieków ukoją.

CHŁOP POKRZYWIONY, SIWY.

Chłop pokrzywiony, siwy,
Jak oszadziały smrek,
Przystanął w pośrodku drogi,
Którą zna niemal wiek.

Rozgląda się naokoło,
W błękitny patrzy świat
I mamle: Toż samo to słońce,
Co świeci mi od lat?

Słońce się uśmiechnęło,
Uśmiechnął się stary człek
I dalej znów powlókł się drogą,
którą zna niemal wiek.

A z wrzaskiem, z gałęzi klonu,
Zerwał się kawek chór:
Od ciemnych przyleciał tu borów
I w ciemny leci bór.

Z DALEKIEJ WRACAM DZIEDZINY.

„Z dalekiej wracam dziedziny,
Nachylam się ku tobie,
Ażeby ci szepnąć do ucha
Prawdę o wielkim grobie.

„Widziałem go nad morzem,
Wykuto go w twardej skale;
Kości pożarła zgnilizna,
Pod wieczór spłukały je fale.

„Zginęła wieść o człowieku,
Co z jego duszą, nikt nie wie,
Głupiec uważa, iż śpiewak
Zamknął ją w swoim śpiewie.

„Nikt tego śpiewu nie słyszał,
Nikt się nie spotkał z śpiewakiem —
Morze li szumi i szumi,
Nadbrzeżnym wstrząsając szlakiem.

Zaklęta to jest kraina,
Do pustki tej trudno się dostać,
Czasem po piaskach wilgotnych
Przechadza się moja postać".

Tak pewnej, samotnej chwili
Szepnęła ku mnie Trwoga —
A jabym szukał, najbliższa,
Jaka tam wiedzie droga.

NIE DAWNO WYSZEDŁEM O ŚWICIE...

Nie dawno wyszedłem o świcie
Na pola, wśród których wzrastały
Me lata... Mój Boże! Mój Boże!
Wzrost lichy, a miał być wspaniały.

Gdym stanął na wonnych rozłogach,
Wędrowca przywitał radośnie
Chór czajek... Mój Boże! Mój Boże!
Jak prędko sen minął o wiośnie.

Zdziwiło się słońce wschodzące,
Że mar na tym świeżym zagonie
Ktoś szuka... Mój Boże! Mój Boże!
Daremnie się marom tym bronię.

Gdzie krzyż na rozstajach odwieczny?
Gdzie są te okryte sitowiem
Wądolce? Mój Boże! Mój Boże!
Cóż ja nadziejom mym powiem?

Świat nowy i nowe sąsiady,
A ci, którzy z dawnych zostali,
Oślepli... Mój Boże! Mój Boże!
Wzrok mój zamroczył się w dali.

Spotkałem procesję pielgrzymów,
Gdym wyszedł o świcie na łany
Młodości... Mój Boże! Mój Boże!
Nieznany mi orszak, a znany.

Zwrócili się ku mnie, wzywają — —
Już śpieszę, o serce ty człecze,
Do kresu!... Mój Boże! Mój Boże!
Zbyt długo ta droga się wlecze...

CO SIĘ TO DZIEJE! CO SIĘ TO DZIEJE!

Co się to dzieje! Co się to dzieje!
Aż lękam się wyznać to komu:
Wiecie, że słońce dziś rano
Zajrzało do mego domu.

Aż lękam się wyznać to komu...
Trza mieć odwagę — do skutku!
Złociste, wiecie, nasturcje
Zakwitły w moim ogródku.

Trza mieć odwagę — do skutku,
Więc powiem wam jeszcze coś więcej:
Śród kwiatów śmiech, wiecie, rozbłysnął,
Szczery, radosny, dziewczęcy.

O, powiem wam jeszcze coś więcej,
Tylko nie śmiejcie się ze mnie:
Ja, wiecie, czekałem na nią
I nie czekałem daremnie.

Tylko nie śmiejcie się ze mnie,
Dusza ma całkiem pijana!
Rzekła mi, wiecie: jak ślicznie,
Gdy słońce w dom zajrzy z rana!

W LUDNE WYRYWAM SIĘ KRAJE.

W ludne wyrywam się kraje,
A wielkiem się trudzę pustkowiem,
Żal mi spać nie daje,
Że los mnie tak zwiódł.

Do skarg przecież niema przyczyny —
Tak sobie dzisiaj przepowiem —:
Nie ja sam jedyny
U zamkniętych wrót.

Były przedemną tysiące,
Tysiące też przyjdą po mnie:
Serca gorejące
Wypełniają świat.

Za dom się swój każde wyrywa,
W którym się czuje bezdomnie,
I, ofiara żywa,
Czeka bezmiar lat.

Lecz cóż to bolesne czekanie,
Kiedy tęsknica — tak powiem —
Na wieki zostanie
Najcudniejszą z złud.

W ludne wyrywam się kraje,
A wielkiem się trudzę pustkowiem.
Nic, że spać nie daje
Żal, iż los mnie zwiódł.

CZEKAŁEM NA CIEBIE WCZORA.

Czekałem na ciebie wczora,
Od rana czekałem do rana,
Wywiodła mnie w pole tęsknota,
Miłością twoją pijana.

Przenigdy już czekać nie będę,
Takem chciał zrzec się w gniewie,
Lecz kłamstwo jest obce mej duszy,
O fałszu nic serce me nie wie.

Więc powiem ci prosto i szczerze,
Ty moje dziwne kochanie:
Chociażbym wieki miał czekać,
Dość woli na to mi stanie.

Bo cóż ja mam czynić, nieboże,
Jeśli nie czekać do końca?
Wszakże ty jesteś zachodem
I wschodem mojego słońca!

NAD KSIĄŻKĄ NACHYLONY.

Nad książką nachylony,
Ni jednej nie widzę zgłoski,
A słucham jedynie, czy stamtąd
Szum nie zaleci boski.

Nie ślą mi swoich nowin
Potoki, wierchy, urwiska —
Turkot li wozów ulicznych
W moją tęsknotę się wciska.

Nie ślą mi swoich nowin
Płomienie z za krańca świata,
W to moje głuche pustkowie
Zwolna już mrok się wplata.

Hej! wyrwę się z jego więzów,
Raz jeszcze do lotu się zmuszę,
By spocząć, gdzie w blaskach szczytów
Bóg się wmiłował w duszę.

NIE WSTYDZĘ SIĘ.

Nie wstydzę się, iż życie mija mi bez czynu,
Że tylko słucham wiatru i poszumu rzeki,
Że patrzę przez me szyby, jak zachód daleki
Osłania wierchy górskie przędzą z seledynu,

Z błękitu i purpury... Ze swojej opieki
Wypuści mnie ojczyzna? Nie powie mi „synu"?
I cóż? Od miłosnego dawnom odwykł płynu,
A zniosłem już niejedne skowyty i szczeki

Chociażby własnej duszy. Ale na pociechę,
By zbyt nie zaciężyła czelność ma na szali,
Odpowiem wam, słuchajcie: rzuciwszy raz strzechę

Mych ojców, w pole-m pobiegł i grudę, obsianą
Przelichem, wątłem ziarnem, serca mego raną
Zwilżyłem potajemnie... Czyn ten mnie ocali...

Z OSIKI-M WYCIĄŁ LASKĘ.

Z osiki-m wyciął laskę, długi kij pielgrzymi,
I księgę, pełną proroctw o zbawieniu świata,
Zabrawszy z ciasnej izby, poszedłem na lata
W ogniska, gdzie się życie przepala i dymi.

Pragnąłem się podzielić z ludźmi zmęczonymi
Nowiną radującą. Ale próżna strata:
Tu człowiek kosi jęczmień, tam bruki zamiata,
Tu kupczy, a tam myśli, że pierś swą zolbrzymi,

Że duszę zbohaterzy w bratobójczej wojnie —
Nikt nie miał chwili czasu, by słuchać spokojnie,
Wróciłem, lecz bez żalu: W tej drodze pątniczej

Jeziora się splatały z rozśpiewaną zorzą,
Z pod stóp mi kwiat wytryskał, wichr od leśnej dziczy
Zawiewał, niosąc ku mnie tajemnicę bożą.

O GÓRY! GÓRY!

O góry! góry! góry! O Wierchu Lodowy,
Bijący w moje okna światłami zachodu:
Wyglądasz mi w tej chwili na zjawisko grodu,
Gdzie wieczną Baśń zaklęto odwiecznemi słowy,

Ja-ć nie wiem, jaka treść jej, nie znam jej wywodu, —
A może to jest wielki hymn stalaktytowy,
Co dźwiękiem swym przejrzystym rozpiera alkowy
I bale twego wnętrza, wielbiąc Twórcę? Lodu

I śniegu ta powłoka, co twą tajemnicę
Otula — czyż jej nigdy nie podchwycą uszy
Śmiertelne? — jakżeż płonie w tych ostatnich blaskach!

I ja, gdy tak ku tobie zwrócone mam lice,
Gorzeję... Byłbyż znak to, iż, o świętych łaskach
Marząca, śpiewa we mnie odwieczna baśń duszy?

CICHO ZA NAMI SUNIE CIEŃ ŻYWOTA...

Cicho za nami sunie cień żywota,
Stworzon przez słońca krąg, który już kona...
Patrzeć, jak szczyty drżą w rozbłyskach złota,
Jak obrzeż lasu zasypia ściemniona!

Wszakżeż to było gdzieś pod koniec września....
Przymykam oczy, aby tem wyraźniej
Ujrzeć tę chwilę, która się rozpieśnia
W hymny zachodnich zórz, gdy owi głaźni,

Martwi rycerze płoną ich ogniami
Na zimnych licach... Towarzyszu miły!
Tak! szliśmy sami, a jednak nie sami,
Szliśmy bezsilni, jednak pełni siły —

Słabość na myśli mając, obaj przecie
Czuliśmy w duszy, że moc nam jest bliską:
W ślad nasz zdążały w tym mierzchnącym świecie
Drogie imiona dwa, drogie nazwiska.

Skąd nam wyrosły, z nizin czy wierzchołów,
Prawdą czy kłamstwem nazwie się ich trwanie,
Po cóż nam w sercu ciężyć ma ten ołów?
Dwieśmy w południe zobaczyli łanie,

Pijące wodę z błękitów potoku,
O takiej żarów głębi niemowlęcej
W tem nieporadnem, a tak śmiałem oku,
Że — do wieczora cóż nam trzeba więcej?

Stać w tem obliczu gór! Z zapartym w łonie,
A tak swobody pragnącym oddechem
Patrząc bez żalu, jak na wieki tonie,
Z lasów i zdrojów nie złączona echem,

Ta, niźli oddech krótsza, jedna, błoga
Chwila pragnienia!... Stać na tej murawie,
Którą przecina kamienista droga:
W żywiołów dawnej, dziś umilkłej wrzawie.

Zwał lodowcowy zaścielił tu łoże —.
Stać tak i słuchać z rozwartą powieką,
Jak te dwa kształty, nieskalane, boże,
Słodko się pieszczą z tą odwieczną rzeką

Odzwierciedleniem swych źrenic! O święta
Chwilo rozkoszy, tajemniczych grodów
Tajna mieszkanko! Serce niech pamięta,
Że niezależna jesteś ni od wschodów,

Ani zachodów... Niezmarła tęsknota
Wciąż cię zamyka w swe drżące ramiona!...
Cicho za nami sunie cień żywota,
Stworzon przez słońca krąg, który już kona.

Późno na polach tych górskich dojrzewa
To liche zboże... Tam już zapomniano,
Jak się od ziarna oddzieliła plewa
Pod twardym cepem, a tu chłodne rano,

Kto wie, czy jeszcze tych owsów nie zwarzy,
Zanim je skoszą... Ale na co, powiedz,
Ma troska ludzka siadywać na straży
Dnia jutrzejszego?... Taki jest manowiec

Kręty i ciemny u dalekich granic
Tych myśli naszych, że lepiej, zaiste!
Świadomość przyszłych dni mieć sobie za nic,
A to radosne dzisiaj, to złociste

Zachodzącego słońca rozebrzmienie
Łączyć w akordy, których niechaj słucha
Twoje i moje serce, póki cienie
Bezwzględną ręką nie przytłumią ducha

Jaśni rozbrzmiałej... Przytłumią? Nie! Oczy
Mamy otwarte: Patrzmy, jak się palą
Te płachty owsa! Jak z tej złotej zboczy
Spływają kłosy, aby zlać się z falą

Tego potoku!... Nim nas droga znuży — — —
Prawda, czy może stępić nasze zmysły
Jakie znużenie w tej dziwnej podróży?...
Mój towarzyszu, kwiaty nam rozbłysły,

Dwa cudne krzewy krwawych róż wyrosły,
Przedwczesnym mrozom wydarte i śniegom...
Spieszmy się, spieszmy, nim je zerwą posły
Takich, jak nasze, żądz! Zazdrośnie strzegą

Ich wiotkich koron przymilkłe wichury,
Na czas dogodny czyhające. Wcześniej
Pewnieć zaszumią złowróżbnemi pióry,
Niźli nadziei naszych sen się prześni.

Tak! trzeba skrócić sobie drogę... Tędy!
Przejdźmy przez potok — brnij-że, brnij! —, a potem
Zuchwałą stopą podepcemy grzędy
Ludzkich mozołów, nieopłatnych złotem.

W cudzy się ogród skradamy — cóż szkodzi,
Że w cudze zboże krok się nasz zagrzebie?
Któż tu właściciel zresztą, a kto złodziej?
Jest tylko człowiek, sam jest i dla siebie.

Nikogo, mówię-ć nie słuchaj, jedynie
Własnego serca, jeśli serce swoje
Umiałeś życiem zamienić w świątynię,
W której się ciszą stają niepokoje

Życia. A wszakże nam, w tej głębi wnętrza
Wielka tęsknica posiała już ziarna
Milczącej ciszy; przedsię ta jest świętsza
Od głośnych modłów; cna jest i ofiarna:

Oddaje duszę i ciało... Niech lisie
Kopią nam doły, groźne sypią szańce:
O prawach świata myśl, jak o przepisie,
Który łańcuchy stwarza i kagańce

Dla psów... Człowieka sieć ich nie omota,
Że jest człowiekiem, w tem jego obrona...
Cicho za nami sunie cień żywota,
Stworzon przez słońca krąg, który już kona.

Dokąd zdążamy, ach! dokąd zdążamy,
Dwaj, wspólnym losem skuci przyjaciele?
Patrz! Na jaworach wieszają się plamy,
Jasne, ogromne — Śmierci to wesele

Tak się jarymi rozhulało blaski
Tam! na tym lesie, nad tą pól roztoczą?
Nikłe dwa widma nieuchwytnej Łaski
Wioną przed nami, głucho, sennie kroczą,

W mgieł zróżowione tulą się opary,
Snać, że już ziemską opuszczają niwę...
A może, słyszysz? może jestem stary?
Raz wypowiedzieć trzeba to straszliwe

Słowo, choć takim napełnia mnie lękiem
Przymus żegnania domu, tu, gdzie człecze
Czuje się serce człeczem, nie rozdźwiękiem,
Który się złudnie naszym śladem wlecze,

Aby zakłócać Rzeczywistość... Może
Gaśnie już oko moje, może traci
Władzę i w chwili dzisiejszej przestworze
Już nie odróżnia widma od postaci,

Bryły marmuru od lotnego puchu,
Tego, co zwiemy leniwym, zastojem,
Od pewnych siebie wzlotów, tak, od ruchu,
Dowodu mocy!... Ale w wnętrzu twojem

Wszakże jest młodość! Wytęż wzrok! Do głębi
Wniknij w dręczącej tej zagadki sedno:
Pozór czy prawda?... Idźmy... Nie wyziębi
Ognia w mem sercu starem ani jedno

Prawo rozumu! Spieszmy się! Do płota
Naszych ogrodów droga nie zamglona!...
Cicho za nami sunie cień żywota,
Stworzon przez słońca krąg, który już kona...

KSIĘGA UBOGICH

XI.

Przestałem się wadzić z Bogiem —
Serdeczne to były zwady:
Zrodziła je ludzka niedola,
Na którą niema już rady.

Tliło w mej piersi zarzewie,
Materjał skier tak bogaty,
Że jeno dąć w palenisko,
A płomień ogarnie światy.

Wiedziały o tem potęgi,
Co gdzieś po norach drzemią,
Albo z bezczelną jawnością
Jak mgły się włóczą nad ziemią.

Wiedziały-ci o tem moce,
Które złośliwość popędza,
By szły powiększać nędzę
Tam, gdzie największa jest nędza.

Wiedziały-ci o tem zastępy,
Które czyhają z za węgła,
Lub w okna patrzą z szyderstwem,
Czy zbrodnia się nie wylęgła?

Wiedziały, że jeno się zbliżyć
Ku popiołowi mej kuźni,
A serce od razu wybuchnie,
Zuchwale zaklnie, zabluźni.

Że swym bluźnierstwom i klątwom
Czynu wyciśnie znamię,
Płonące żądzą odmiany,
Przewrotu, co berło Mu złamie.

I dzisiaj nie żal mi tego,
Najmniejszej nie czuję skruchy,
Bom-ci nie żaden służalec,
Na własne serca głuchy.

Bo w sporze o szczęście świata
Swawolność mi była daleka,
A tylkom korzystał z prawa
Wojującego człowieka.

Jeno że dzisiaj to widzę,
W patrzeniu dosyć już biegły,
Czego w zamęcie walki
Źrenice me nie dostrzegły.

Nie ruszał-ci On naprzeciw
W rynsztunku wspaniałym dziwie,
A tylko na tronie Swym siedząc,
Uśmiechał się pobłażliwie...

I dziś ja sam uśmiechnięty,
Gdy krzyczą: „W żelazo się okuj!“
Jak ongi miecz niosłem walczącym,
Tak dzisiaj niosę im spokój.

Lecz już nie wadząc się z Bogiem,
Mam jeszcze cichą nadzieję,
Że na dnie mojego spokoju
Żar świętej wojny tleje.

XIV.

Narazie, mówiący prawdę,
Nie palę się całkiem do śmierci,
Przyjdzie tu sama tą drogą,
Albo po wąskiej tej perci.

Całkiem też ludzi rozumiem,
Krzyczących, że wszystko im jedno,
Jaki ich rydel oklepie,
Gdzie zgnije śmiertelne ich sedno.

Ale że umrzeć raz trzeba,
A marzyć jest wolno każdemu,
Więc mam i ja prośbę w swej sprawie
Ostatecznego Eremu.

Do was się zwracam, najbliżsi,
I do was, cni przyjaciele,
Byście z tym śmiesznym zewłokiem
Nie mieli zachodów zbyt wiele.

Na chłopską połóżcie furę,
W cztery schowawszy go deski,
Niech w takim zajeżdża tryumfie
Ten pomiot chuci niebieskiej.

Jubilat ciężkich lat życia,
Co swą i cudzą niedolę
Przetrwałą, niech w takim zbytku
Na to zajeżdża pole.



Bo tutaj, na tem pustkowiu,
Gdzie nieraz, dumając o świecie,
W poranki-m się błąkał rosiste,
Głęboki mi dół wykopiecie.

Albo, jeżeli już łaska,
Wybierzcie mi przystań nad rzeką,
Tu, nad tą burtą kamienną,
Pod szumów wieczystych opieką.

Tu-m ja w słoneczne południa,
Z odłamu tej lśnistej skały,
Widywał, z jaką potęgą
W przestwór te szumy się rwały.

Lub tutaj — o żądzo zbyt górna! —
Przy udeptanej tej drodze,
Gdzie nieraz, gwiazdy łowiący,
Wieczorem, bywało, chodzę.

A mam-że być jeszcze natrętnym —
O, jakem upokorzony! —,
Na grobie mym raczcie posadzić
Dwa świerki lub dwa jesiony.

Wszakże przez wszystkie dni swoje,
Tajemnych głosów ciekawy,
Nad dźwięki lubiłem najsłodsze
Pogwary ich i rozprawy.

Pogardził Bóg lichem ciałem,
W pierwotny proch je rozkrusza,
Lecz tegom ja wielce pewien,
Że wielce mu drogą jest dusza.

Więc myślę, że jej pozwoli
Przychodzić od czasu do czasu
Nad rzekę, na pól tych pustkowie,
Na drogę, do gór tych, do lasu.

Że jej pozwoli siadywać
Na darni, zielonej mogiły
I słuchać jesionów czy świerków,
Co szpik jej powłoki wypiły...

Nie myślę jeszcze o śmierci,
Ale że umrzeć raz trzeba
Więc proszę was o tę ostatnią,
Razową kruszynę chleba.

XXI.

Cokowiek o tem powiecie,
Przed wami nie stanę bosy,
Pętlicy na kark nie zarzucę,
Nie myślę pójść do Kanosy.

Nigdym się nie rwał ku cnocie,
Grzechów spełniłem nie mało —
Cóż robić? Wszak tylko z gliny
Bóg nam ulepił ciało.

Często-m próbował się oprzeć
Na krokwiach dziadowskich ducha —
Pokusa była za mocna,
Podpora moja za krucha.

Z wszystkich mi stron urągano:
„Racz-że opatrzyć się, bracie!
Mróz, mówią, na psa przychodzi,
Mróz przyjdzie srogi i na cię.

Nim się spostrzeże twa pycha,
Pewnego wieczora czy rana,
Kostusia się zjawi z klepsydrą
I kosą, niezawołana.

Skurczysz się, skręcisz i chętnie
Staniesz przed nami, bosy,
Pętlicę zarzucisz na szyję
I pójdziesz rad do Kanosy.

Jeno że będzie za późno,
Odpadniesz, jak puste plewy,
Jak gałąź zeschła, do ognia
Przez Pańskie rzucona gniewy“.

Nie troszczcie się o mą przyszłość,
Kraczące kruki wy lube!
Juże-m ci sam postanowił,
Aby odwrócić swą zgubę.

Gdy przyjdzie mróz na mą skórę,
Co jušci wszystkich nas czeka,
Przywołam ze wsi ku sobie
Najnędzniejszego człowieka.

Dłoń mu uścisnę i powiem:
Chudobaśmy oba, chudoba!
Nie skąp mi swojej miłości,
Nagrzeszyliśmy się oba.

A zaś stanąwszy przed Gazdą,
Ujrzawszy swojego Sędzię,
Przybywam — rzeknę — z nadzieją
I niechże będzie, co będzie.

Juhas-ci jestem pośledni,
Twój pastuch, Panie, lecz owiec
Może-m Ci żadnych nie wypasł,
Cóż ze mną uczynisz? Powiedz!

Nie miałem w sobie pokory,
Nie chciałem nigdy bosy,
Pętlicę na kark zarzuciwszy,
Wędrować hen! do Kanosy.

Lichy jest ze mnie adwokat,
Lecz dla obrony, mój Boże,
Przytoczę, że tylko przed Tobą
Każdej się chwili ukorzę.

Bo i cóż robić, gdyś taką
Raczył nagodzić mi duszę,
Że by pozbyła się Ciebie,
Żadną jej siłą nie zmuszę?

Dodam też jedno, jeżeli
Zbyt będzie lekka ma waga:
Kochałem najlichsze źdźbło trawy
I człeka, co z losem się zmaga.

Najmniejszy listek na drzewie,
Najmniejsza wody kropelka
Czci mojej były przedmiotem —
Tak Twoja władza jest wielka.

Gdybym nie wstydził się ludzi,
Choć ślepi są, głusi i niemi,
Publiczniebym ukląkł na widok
Najmniejszych pyłków ziemi.

Nie moja-ć w tem jest zasługa —
Jakiegoś stworzył mnie, Panie,
Takiego masz mnie —, a jednak
Snać mi się krzywda nie stanie.

Od Siebie mnie nie odtrącisz,
Choć tam ja nie chciałem bosy
Pętlicy zarzucać na szyję
I czołgać się do Kanosy.

XXXII.

Gdzie znaleźć spokój, gdzie duszę
Ukoić nieukojoną?
Modrzewie straciły swą zieleń,
Złotem kosztownem płoną!

U wierzb podnóża, przy drodze,
Powiędłych liści gromada —
Z koron drzemiących w słońcu,
Jeden za drugim pada.

Z tak słodką opada ciszą,
Tak się odrywać umie
Od życia, że śmierci nie czujesz
W niedosłyszalnym szumie.

Ostatniej czekają chwili
Jawory, w łysk bronzów strojne —
Czyżbyś pomyślał, iż pewność
Walną przegrywa wojnę?

Czyżbyś pomyślał, mój bracie,
Że nieruchome te brzozy,
W płomienny odziane jedwab,
Zimowej już pełne grozy?

Coś niezwykłego się zbliża —
Widnąż dla oczu stroną?...
Modrzewie straciły swą zieleń,
Złotem kosztownem płoną...

Idziemy daleko, bracie,
Może cię droga ta męczy?
Oprzyj się razem ze mną
Na tej sczerniałej poręczy.

Podobny do ciebie człowiek
Zbudował ją kiedyś, przed laty,
Mostu-ci ona strzeże,
Most, widzisz, niebogaty.

Za lada krokiem się chwieje,
Lecz przejść go się odważymy,
Inaczej nie puści nas przepaść,
Mgławemi ziejąca dymy.

Mamy-ż się wracać ze strachu?
I po co? Wygrana karta!
Lato zostało za nami,
Przed nami jesień otwarta.

Wdzięczy się ku nam, uśmiecha
Twarzą — śmiertelnie-ż czerwoną?
Modrzewie straciły swą zieleń,
Złotem kosztownem płoną.

Wąwozem potok się toczy,
W odwieczne ściany ujęty,
Białawe błękity nieba
Bielą mu białe męty.

Okiełzał swój dawny rozpęd,
Dla brzegów kamiennych wraży,
Zaledwie szepcą ze sobą,
O swojem ujściu marzy.

Olchy obsiadły krawędzie
Zamierającej rzeki,
Po fiolecie ich kory
Blask ślizga się daleki.

Gałąź zwiędłego powoju
Po głazach zwietrzałych pnie się,
Z trudem utrzymać się zdoła —
O cichy, bezwładny kresie!

Opadnie i zgnije... Czyż lęk to
Na duszę nieukojoną?
Modrzewie straciły swą zieleń,
Złotem kosztownem płoną.

XXXIV.

Któżby się tego spodziewał,
Że jeszcze dziś, w listopadzie,
Rój pszczół na krzewie kwitnącym
Z chciwym pobrzękiem się kładzie.

Zwiądł nasz ogródek, zostało
To jedno jedyne kwiecie —
Szron go już widać, poranny
Z tej pustej grzędy nie zmiecie.

Śnieżną mieliśmy kurniawę,
Ostre już były przymrozki,
Lecz on się im oparł, ten prosty,
Ten kwiat tak przedziwnie boski.

Nie znane mi jego miano —
Do dziś nie postało mi w głowie,
By kogokolwiek się spytać,
Jak się też dziwo to zowie.

Takie to niepozorne,
Szatki ma takie przeskromne,
Że mniej przepychu i blasku
W krainie słońca nie pomnę.

Przecieżbym gotów zawołać,
Wlepione mając weń oczy,
Że krzak to jest gorejący
Synajski objaw proroczy.

W jego błękitnych płomykach,
W gwiazdek koronie wesołej
Wielka się kryje Łaskawość,
Co skrzętne przyzywa pszczoły.

Głos-ci to miodem zaprawny,
Wezwanie, pełne słodyczy,
Choć żaden z tych drobnych puharów
Zbytkownem złotem nie krzyczy.

Nie widzę ja ulów w tej wiosce,
Są gdzieś daleko, lecz uszy
Ma owad wrażliwe, zdaleka
Rojami na głos się ten ruszy.

Przyleci pod krzak gorejący,
Co jeszcze nie przekwitł w ogrodzie
Pod ścianą mej chaty, i z brzękiem
Na jego używa miodzie.

Wpija się w jego kielichy —
Żadna go moc nie odgoni —,
Tak się lubuje ród pszczeli
W tej lepkiej, żywotnej woni.

Z pomiędzy chmur, zapowiedzi
Snać bliskiej, śniegowej burzy,
Czasami słońce zabłyśnie,
Radością mu swoją zawtórzy.

I we mnie są jakieś błyski —
Widocznie ma dusza jest rada,
Że widzi i kwiat i te pszczoły
W tych mrocznych dniach listopada.

XLI.

Rzadko na moich wargach —
Niech dziś to warga ma wyzna —
Jawi się krwią przepojony,
Najdroższy wyraz: Ojczyzna.

Widziałem, jak się na rynkach
Gromadzą kupczykowie,
Licytujący się wzajem,
Kto Ją najgłośniej wypowie.

Widziałem, jak między ludźmi
Ten się urządza najtaniej,
Jak poklask zdobywa i rentę,
Kto krzyczy, i żyje dla Niej.

Widziałem, jak do Jej kolan —
Wstręt dotąd serce me czuje —
Z pokłonem się cisną i radą
Najpospolitsi szuje.

Widziałem rozliczne tłumy
Z pustą, leniwą duszą,
Jak dźwiękiem orkiestry świątecznej
Resztki sumienia głuszą.

Sztandary i proporczyki,
Przemowy i procesyje,
Oto jest treść Majestatu,
Który w niewielu żyje.

Więc się nie dziwcie — ktoś może
Choć milczkiem słuszność mi przyzna —,
Że na mych wargach tak rzadko
Jawi się wyraz: Ojczyzna.

Lecz brat mój najbliższy i siostra,
W tak czarnych żałobach ninie,
Ci widzą, że chowam tę świętość
W najgłębszej serca głębinie.

Ta siostra najbliższa i brat ten,
Wybrani z pomiędzy rzeszy,
Co znają drogi, któremi
Moja Wybrana śpieszy.

Krwawnikiem zarosłe ich brzegi,
Łopianem i podbiałami:
Śpieszę z Nią razem, topole
Ślą swe westchnienia za nami.

Przystajem na cichych mogiłach,
Słuchamy, azali z ich wnętrza,
Jaki się głos nie odezwie,
Jaka nadzieja najświętsza.

Zboża się złocą dojrzałe,
A tam już widzimy żniwiarzy,
Ta dłoń swą na czoło mi kładzie
I razem o sprzętach marzy.

A potem, podniósłszy głowę,
Do dalszej wstając podróży,
Woła: „Miej radość w duszy,
Bo tylko radość nie nuży.

Podporą ci będzie i brzaskiem
Ta ziemia, tak bujna, tak żyzna,
Nią-ci Ja jestem, na zawsze
Twa ukochana Ojczyzna".

Jakiś złośliwy złoczyńca,
Pszeniczne podpala stogi,
U bram się wije niebieskich
W rozpaczy człowiek ubogi.

Jakaś mordercza zaraza
Z głodem zawiera przymierze,
Na przepełnionych cmentarzach
Krzyże się wznoszą świeże.

Jakoweś głuche tętenty
Wskroś przeszywają powietrze,
Kłębią się gęste chmurzyska,
Czyjaż to ręka je zetrze?

Jakaś olbrzymia rzeka
Wezbrała krwią i rozlewa
W krąg purpurowe swe nurty,
Zabiera domy i drzewa.

Jakoweś idą pomruki —
Drży niepoznana puszcza,
Dęby się groźnie ozwały,
Cóż to za moc je poduszcza?

A nad tą dolą — niedolą
Poranna nieci się zorza,
Na pieśń mą, Ojczyzny pełną,
Spływa promienność boża.

W mej pieśni, bogatej czy biednej —
Przyzna mi ktoś lub nie przyzna —
Żyje, tak rzadka na wargach,
Moja najdroższa Ojczyzna.

XLIII.

Żegnaj mi, księgo ty moja!
Płone-m zgromadził brogi:
Uboga jesteś w swej treści,
Tworzył cię człowiek ubogi.

Niewielki jest obszar życia,
Po którym, na kiju oparty,
Wałęsam się niedołężnie,
Na myśli mając twe karty.

Pola, że dzień li wystarczy,
By zmierzyć je stopy ludzkiemi,
Granice widzialne, lecz słońce
Zachodzi i wschodzi nad niemi.

Lasy, do których zbaczałem
Po szumy na zwrotki te skromne,
Nie ciągną się gdzieś na mile,
Nieomal świerk każdy pomnę.

Nie puszcza to niedostępna,
Nie żaden matecznik głęboki,
Ma przecież swe tajemnice,
Co wabią najsłabsze kroki.

Nie dajesz pewności, ma księgo,
Azali odgadnie je człowiek,
Lecz każ mu otwarte mieć uszy
I nie zamykać powiek.

O jakiż dom to malutki
Jakaż to ciasna zagroda!
Zdawałoby się, że oczu
Odwracać na nie szkoda.

Trzy, albo cztery jesiony —
Któż je tam liczyć będzie? —
I kwiaty najpospolitsze
Na kilkułokciowej grzędzie.

A przecież w tych licznych opłotkach,
W tych ścianach, ciosanych z drzewa,
Wypełnia się życie, co własny
Przypływ i odpływ miewa.

Czy głośne jest ono, czy ciche,
Czy meta ócz jego daleka:
Miało-ci swe narodziny
I na swój koniec czeka.

I to wystarczy. Zaś reszta —
Czy siła niem rządzi, czy może
Słabość, niech o tem wyroki
Zawyrokują boże...

Na rzece mej, w wieczność płynącej,
Wspaniałe nie stoją mosty,
Kładka li z chwiejną poręczą,
Stawiał ją człowiek prosty.

Nie przejdą-ci po niej tłumy —
Najmniejszy wiew ją porusza,
Lecz może na tamtą stronę
Spojrzy z niej jedna choć dusza.

Czy zoczy świat nowy, ja nie wiem:
Mgieł ja tych nie rozwieję,
Co drzemią na drugim brzegu,
Choć tę żywiłem nadzieję.

I nic śmiesznego w tem niema:
Nadziei mej czułą macierzą
Nie pycha była, lecz miłość —
Ci, co kochali, uwierzą...

Zrodzona pod znakiem słońca,
Miałaś być wieścią radosną,
A z ostatniemi kartami
Troski krwawiące rosną.

Kto temu winien?... Losy,
Co przed się na oślep pędzą
I uśmiechniętą błoń życia,
Jak kurzem, skrywają nędzą.

Lecz kto się patrzeć nie nuży,
Pod pyłu powłoką suchą,
Zieloność zobaczy niezwiędłą,
Z słoneczną się spotka otuchą...

Żegnaj mi, księgo!... Nic losów
Utrzymać nie zdoła na wodzy!...
Rzuca cię człowiek ubogi,
Przyjmą cię ludzie ubodzy.

MÓJ ŚWIAT

MODLITWA WĘDROWNEGO GRAJKA.

Przy małej, wiejskiej kapliczce,
Stojącej wedle drogi,
Ukląkł, rzempoląc na skrzypkach,
Wędrowny grajek ubogi.

Od czasu do czasu, grający,
Bezzębne otwierał wargi,
To przekomarzał się z Bogiem,
To znowu się korzył bez skargi:

„Hej, Panie Boże, coś wielkim
Gazdą jest nad gazdami,
Pocoś mi dał taką skrzypkę,
Co jeno tumani i mami?

Nie umiem-ci grywać na niej,
A jednak wciąż grywać mi chce się,
Że jestem jak liść ten, szumiący
Gdzieś w niedostępnym lesie.

Któż go tam widzi, któż słyszy
W tych mnogich drzew rozhoworze?
Liche mi dałeś skrzypeczki,
Niemiłosierny Boże!

A, jednak, o wielki Panie,
Zlituj się, zlituj nade mną,
Chroń mnie, bym się nie grążył
W jakowąś rozpacz ciemną.

A jeszcze bardziej chroń mnie
I od najmniejszej zawiści,
Że są na świecie grajkowie
Pełni szumniejszych liści.

Spraw to, ażebym zawsze
Umiał dziękować, Ci, Panie,
Że sobie rzempolę, jak mogę,
Że daję-li, na co mnie stanie.

I niech się zawsze przyznaję
Choć do najskrytszej przewiny
I wielką niech czynię spowiedź
W obliczu ludzkiej rodziny.

I niechaj pomnę w mem życiu,
Czy w bliskiem, czy też dalekiem,
Żem człekiem jest przedewszystkiem
I niczem więcej, jak człekiem.

Spraw w końcu, bym przy tej kapliczce,
Obok tej wiejskiej drogi
Klękał i grywał na skrzypcach,
Wędrowny grajek ubogi".

MATKA.

Blady księżyc świeci,
Godzina dwunasta,
Przed mem oknem, widzę, staje
Starucha, niewiasta.

Pomarszczone czoło,
Wąska twarz zapadła:
Nie do człeka, snać, podobna,
Raczej do widziadła.

Na głowie chuścina,
Pod nią włos się kryje
W resztkach strzępów, biała kryza
Okala jej szyję.

Zżółkłą, chudą ręką
Lekko szyb dotyka,
A te dzwonią, jak nieznana
Odległa muzyka.

„A czego to chcecie?
Macie, widzę, drogę
Poza sobą, lecz ja nic tu
Poradzić nie mogę.

Wszyscy śpią już w domu,
Wszystkie garnki próżne,
Nic nie wygra, kto w tej porze
Chodzi po jałmużnę.

Sam ci, jabym pomoc
Przyniósł-wam, być może,
Lecz widzicie, jak mnie więzi
To nieszczęsne łoże.

Obolałe ręce,
Obolałe nogi:
Niechaj Pan Bóg was opatrzy
Śród tej waszej drogi.

Zapewne zdaleka, —
Ano, wielka szkoda —
Przyjdźcie jutro, przyjdźcie rano,
Ktoś tu coś wam poda".

„Zdaleka, czy zbliska,
O tem sądy różne,
To ci powiem, żem nie przyszła
Tutaj po jałmużnę.

Słyszę, jesteś chory,
Masz już swoje latka,
Chciałam jeszcze cię odwiedzić,
Jestem twoja matka."

„Rozumiem, rozumiem:
Czas ci było po mnie
Przyjść i zabrać mnie ze sobą,
Dziękuję ogromnie!"

„Jeszcze ja cię z sobą
Dzisiaj nie zabiorę;
Człek jest na to, aby cierpiał,
Cierp, me dziecko chore.

Zresztą masz i tutaj
Swe chwile radosne:
Księżyc, słońce, las, szum rzeki,
Masz zieloną wiosnę.

Mnie-ci tam jest dobrze
Między zbawionemi,
Przecie, czasem, trochę tęsknię
Do tej waszej ziemi.

Więc żyj sobie jeszcze,
A, gdy wstaniesz zdrowy,
Idź na pole, idź do boru,
Idź na Wierch Lodowy."

Tak dzisiaj z północka
Pogwarzyłem sobie
Z matką, prawie zapomnianą,
— Tak dawno jest w grobie.

POD LASEM.

Chodzę spać z kurami,
A budzę się dodnia:
Jestem wieśniak, żyć inaczej,
To byłaby zbrodnia.

Ponoć ludzie w miastach
Mają swe przepisy,
Ale my tu jemy kaszę
Ze swej własnej misy.

Lubię się pokłonić
Pierwszym blaskom słonka,
Lubię słuchać, jak coś drze się
W gardzieli skowronka.

Ano drze się w pierciach:
„Trala, tryli, tryla!
Jeszcze jeszcze się ku latu
Wiosna nie przechyla.

A jak się przechyla,
Dziękować jej za to:
Przyjdzie do nas z snopem kłosów
Miłościwe lato."

A niema skowronka,
Lubię słyszeć trznadle,
Co, na płotach naszych siedząc,
Kłócą się zajadle.

Ale to dorzeczy
Nie należy wcale:
Koń, gdy zerwie się, choć stary,
Pędzi, jakby w szale.

A zatem tak było:
Na ranek jam łasy,
Dziś mnie jeszcze wcześniej budzą
Krzyki i hałasy.

Myślę sobie w trwodze:
A cóż tam się staje?
Czy to pędzą dzisiaj na nas
Same czartów zgraje?

Czy skądsiś runęły
Na nas bolszewiki?
Zewsząd jakby płacz i jęki,
Jakby zamęt dziki.

Wybiegam z chałupy
Z rewolwerem w łapie:
Nic, to tylko drzewa rąbią
Na sąsiedniej grapie.

Słucham, nadsłuchuję:
Jęki i wzdychania;
Patrzę, patrzę: w mych się oczach
Smrek za smrekiem słania.

Niech rąbią, niech rąbią —
Na to nie poradzę —
Jestem tylko obywatel,
Od tego są władze.

W Roztokach się pali,
Słyszę, las wspaniały,
A tu chamskie się topory
Do smreków dobrały.

Niech rąbią, niech palą,
Las zmieniają w zgliszcze,
Trochę żal mi jest, to prawda,
Ale świszczę, świszczę..

Niech rąbią, ścinają,
Tylko od korzenia,
Niech się cały las na maszty
I domy przemienia.

A korony smreków
Gdy wyschną, jak trzeba,
Niechaj służą na podpałkę
Przy pieczeniu chleba.

Tak ja sobie myślę,
Nieodrodny prawie
Syn tych dni, co idą z świeżą
Nauką w rękawie.

I już chcę powracać
Do swojego biurka,
By napisać, jakie jajka
Ma dziś znosić kurka.

Wtem, jakby mnie nagle
Ktoś chwycił za ramię:
Staję, patrzę i odrazu
Coś się we mnie łamie.

Jakiś wid od grapy
Powoli się toczy:
Stary wielki jawor staje
Przed mojemi oczy.

Korzeń oblepiony
Jeszcze ziemią świeżą
I pień cały przyodziany
Soczystą odzieżą.

Czuję, że chce sobą
Litość wzbudzić we mnie:
„Pomyliłeś się staruszku,
Daremnie, daremnie!

Powracaj do lasu
Między swe jawory,
Tam przeznaczeń twych dopełnią
Piły i topory.“

„I ty padniesz ze mną“.
„Nie szkoda, nie szkoda,
Będą maszty, będą domy,
Wzrośnie podściel młoda.“

Odszedł, aby skończyć,
W swe leśne grodziszcze:
Trochę żal mi się zrobiło,
Ale świszczę, świszczę.

SZUM WODY.

Ja nie wiem, czy człek jest na świecie,
Coby tak lubił szum wody,
Jak ja go lubię. „O człeku,
Jesteś z chełpiszów trzody!

Pyszałkiem jesteś, choć niby
Ciągle się ćwiczysz w pokorze,
Jeśli się chwalisz, że nikt tak
Szumu miłować nie może."

Czy tak, czy owak, niech będzie!
Przecież, z pokory, czy z dumy,
Powtórzę, iż chyba nad wszystko
Lubię te wody szumy.

Dodam to jeszcze, że dla mnie
Są obojętne ich moce:
Wszystko mi jedno, czy potok
Krzyczy, czy ledwie bełkoce.

Dawniej sądziłem, że tylko
Ocean rozhukany,
Lub też alpejskie kaskady
Zmieniają duszę w organy.

Dawniej sam ja też szumiałem,
Jak rozszalała fala,
Rozprawiający się z Bogiem,
Który mnie słuchał — zdala.

Dzisiaj — ha, może to życie
Już całkowicie jest marne! —
Nie troszczę się wcale o to,
Jak ja szum wody ogarnę.

Czy tak on płynie, czy owak
Pod mą skrzypiącą kładką,
Powtarzam za nim swój pacierz,
Jak pacierz za panią-matką.

Czasami kiedy tak siedzę
Na kładce, wpółnieprzytomnie
Wpatrzony we wodę, przechodzi
Ktoś ze sąsiadów koło mnie.

Pozdrowi i pójdzie dalej,
Troszeczkę, jakgdyby zdumiony
Że można tak łowić bezmyślnie
Te bełkotliwe tony.

Czasami Pan-Bóg-staruszek,
Pędzący przed sobą kawki,
Na krótką zatrzyma się chwilę
Około mojej ławki.

Usiadzie przy moim boku,
Uściśnie mnie lekko za ręce,
A oczy jego, jakgdyby
Kąpały się w jakiejś podzięce.

„Ha, Panie Boże! Ponadto
Już mi dziś nic nie potrzeba,
Lecz jeśliś tak łaskaw, niech słońca
Nie skąpią mi twoje nieba."

Tak rzekłem mu kiedyś, siedzący
Nad mym szemrzącym potokiem,
I odtąd wciąż na mnie słońce
Patrzy swem złotem okiem.

Więc obojętne jest dla mnie,
Czy takie, czy inne są moce
Mego potoku, czy huczy,
Czy też zaledwie bełkoce.

SPIS RZECZY

P o e z j e

z katalogu wydawnictw J. Mortkowicza

	złotyc
BĄK WOJCIECH — Brzemię niebieskie . .	3.–
„ „ Śpiewna samotność . .	3.–
„ „ Monologi anielskie . .	3.–
BRZECHWA JAN — Piołun i obłok . . .	2.–
GOŁĘBIOWSKI STEFAN — Kłos słońca . .	2.–
JASTRUN MIECZYSŁAW — Strumień i milczenie	2.–
LANGE ANTONI — Gdziekolwiek jesteś... . .	2.–
„ „ — Malczewski. Poemat dramat.	2.–
MORTKOWICZÓWNA H. — Niepotrzebne serce .	3.–
NAPIERSKI ST. — Ziemia, siostra daleka . .	3.–
PIECHAL MARIAN — Srebrna waga . . .	1.5
SEBYŁA WŁADYSŁAW — Koncert egotyczny .	2.–
„ „ Obrazy myśli . .	2.–
SZEMPLIŃSKA ELŻBIETA — Wiersze . .	3.5
WHITMAN WALT — 75 poematów. Przełożył St. Napierski	3.–
ZAWISTOWSKA KAZ. — Poezje. Wydał St. Wyrzykowski. Przedmowa Miriama	3.6

BRONISŁAWA OSTROWSKA — PISMA POETYCKIE

Tom I: Opale. Poezje	zł 6.—
Tom II: Chusty ofiarne. Aniołom dźwięku .	zł 6.—
Tom III: Z raptularza. ABC Polaka pielgrzyma	zł 6.—
Tom IV: Pierścień życia. Tartak słoneczny .	zł 6.—